BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO



KULTURTRAEGER

KAZIMIERZ LASKOWSKI

S. Galiński

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, ULICA NOWOWIEJSKA 27, tel. 219-10.

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie	(9 tomów)	3 zł. 60 gr.
Półrocznie	(18 „)	7 „ 20 „
Rocznie	(36 „)	14 „ — „

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedyńczego 65 gr.

ROK I

TOM XVI

KAZIMIERZ LASKOWSKI

„KULTURTRAEGER"

POWIEŚĆ

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

1925

*Tłoczono w Zakł. Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.*

Wanda leży w naszej ziemi
Co nie chciała Niemca...
(Znana piosenka).

I.

Deszcz ustał.

Gżycki wychylił się z powozu, spojrzał ku niebu, potem rzucił okiem na błotnistą, pełną kałuż wodę.

— Janie, jedź! — odezwał się niecierpliwie do furmana. — Pośpieszaj, będziemy późno! — powtórzył z naciskiem.

Furman biczyskiem ukazał na drogę.

— Ciężko, proszę pana! — odrzekł z flegmą, ale strzepnął lejcami i czwórka rosłych kasztanów ruszyła żwawiej. Po chwili jednak konie same zwolniły kroku.

Gżycki ponowił rozkaz.

— O! będzie na czas — bąknął woźnica z niechęcią. — Już Wisłę widać! A no!

Przy tych słowach podniósł się na koźle i ujrzawszy przed lejcowemi końmi duży wybój, skręcił raptownie w bok. Bryznęło błoto, powóz przechylił się, wachlarzami nieomal dotykając ziemi.

— No, no, wywrócisz! — krzyknął Gżycki. — Uważaj!

— A, pan każe śmigać. Trza było pierwej drogę naprawić — zauważył poufale Jan i roześmiał się, spojrzawszy na przestraszoną twarz siedzącego w powozie.

Gżycki zmarszczył brew.

— Jan... widzę... znowu tego... — zaczął, przytknąwszy palcem w szyję, strając się przytem przybrać wyraz surowy i karcący.

Wymowna ta uwaga nie zrobiła na furmanie najmniejszego wrażenia. Ruszył z lekceważeniem ramionami i bez wahania odrzekł:

— Panu sekretarzowi to zawdy jedno na myśli. A mnie się widzi....

— Niech się Janowi nic nie widzi! Niech Jan jedzie, a nie rozprawia. Pan administrator może już być na przewozie... Rozumie Jan!

— Co niemam rozumieć. Ale ja przecie ciągnąć nie będę. Trza było drogę naprawić. Rozbili burakami... miała być reparacja. Ale to tam takie rządy! Wszystko w kieszeń idzie!... Dawniej to przynajmniej *siutru* i *faszyny* nawieźli... a teraz i to ustało.

— Pijanica — syknął przez zęby Gżycki.

— Niech se tam pan sekretarz co chce gada — rozprawiał w dalszym ciągu, nie zważając na przycinek, rozgadany furman — a ja pedam, że teraz w fabryce wszystko się psuje...

Po chwili zaś dodał:

— Różnie tam o tem ludzie mówią.

— A cóż ludzie mówią? — spytał Gżycki od niechcenia.

— Co? Ano gadają, że *dministrator* ma nie być.

— Głupstwo!

— Tak mówią. Pono nasz hrabia już nie chce *miemców* trzymać. Wyganiają oni naszych... Kiedyś wrócił do Murowańca Kuba z żoną. *Ciupusem* go

do granicy beskudy Prusaki odstawili... Styrał chudzina... musiał graty za byle co wyprzedać, bo mu otchu nie dali... żandarmów nasłali i wprost na drogę wyrzucili, choć *paśport* miał.

— Takie prawo — wtrącił sentencjonalnie Gżycki. — Nie wolno zagranicznym poddanym chodzić na zarobki.

— A czemuż oni do nas idą. Niedaleko szukając w naszej fabryce... miemiec na miemcu! Biedny człek pożywić się nie może, a jak kogo wezmą z naszych, to jeno do *czarnej* roboty. Czy to tak dobrze?

Gżycki nie odpowiedział nic. Rozmowa z stangretem była mu wogóle nie na rękę, choć w głębi duszy przyznawał rozumowaniu chłopa nieco racji, zwłaszcza, że pogłoski o usunięciu administratora nie były pozbawione podstawy. Pewności jednak żadnej nie było. Mówiono o tem w zarządzie cukrowni, wspominał mimochodem starszy buchalter, ale jak dotychczas kończyło się na głuchych wieściach, sam zaś Gżycki, będący oficjalistą od posyłek, wnioskował z różnych okoliczności, że *abszit* nieprędko nastąpi. Zresztą przyjazd administratora, zapowiedziany telegraficznie, utwierdzał go w tem przekonaniu. Tem więcej przeto uważał za stosowne nie wdawać się w drażliwą dysputę z rozmownym woźnicą. Więc nie odpowiadając na pytanie, zaczął znowu karcącym głosem przynaglać do pośpiechu:

— Niech-no Jan nie rozprawia... bajek nie roznosi... jak się spóźnimy, będzie *štraf!* Pan administrator nie żartuje!

Pogróżka trafiła do przekonania. Jan cmoknął, rozwinął bat, uderzył dyszlowe na przegiętkę, kasztany ruszyły kłusa. Ale mimo to nie dał pogawędce za wygranę. Z Gżyckiego nie robił sobie wiele, jeździli razem od lat kilku po „drogach“, wiedział o sekretarzu „różności“, miał go, jak to mówią, w garści, wiedział też, że choćby ten chciał, to z jego zwierzeń

nie skorzysta, boby się przytem różne sprawki wydać mogły, więc choć Gżycki, nierad z poufałości, wsunąwszy się w głąb powozu milczał, Jan nie przestał mówić:

— O, *halunkowałby* pewnie! — jął znowu gwarzyć, skoro wjechali na równiejszy, wysadzony topolami gościniec. — A i *śtraf* kazałby zapłacić. Ale niech się pan sekretarz nie boi... Będziewa w porę. Ano, już i przewóz widać... Przewoźnicy czekają u drugiego brzegu z promem. Będziewa na czas. To i dobrze... Trza szkapom wytchnąć... bo się zmachały. Psiakość taka droga! Niech ją siarczyste!

Zaklął.

Gżycki wziął na cierpliwość i milczał uporczywie, rozglądając się wokół.

Dojeżdżali do celu. Powóz toczył się teraz szybko przez nadbrzeżne pastwiska. Droga wiodła wężykowato wzdłuż wału ochronnego, poza którym zieleniły się kępy wikliny, skąpane w pozostałych po ostatnim wylewie strugach. Na pastwisku pasło się kilka par koni, gromadka włościańskiego bydła szczypała przyżółkłą na jesiennym chłodzie drobną trawę, grzęznąc racicami w przesyconej wilgocią darninie; z wikła dolatywał melancholijny pokrzyk czajek. Im bliżej Wisły, grunt stawał się więcej grząskim, nawet na drodze mimo nasypu, kopyta biegnącej szparko czwórki wydawały charakterystyczny odgłos, do mlaskania podobny.

Do Wisły było kilkadziesiąt kroków. Popryszczone od słońca skorupy namułu, łachy żółtego, napływowego piasku, porosłe gdzieniegdzie skrzypem i rozchodnikiem, zwiastowały bliskie sąsiedztwo wody.

— Jesteśwa! — odezwał się Jan wesoło, podnosząc się nieco na koźle.

Gżycki odrzekł krótko:

— To dobrze. Niech Jan stanie na wale. Zjeżdżać nie trzeba, bo brzeg stromy.

To mówiąc, zaczął na sobie poprawiać ubranie, pogładził siwiejącą brodę i mruknął sam do siebie:

— Djabli wiedzą, czego się właściwie trzymać. Kto wie, skoro już chamy przebąkują, czy się *stary* utrzyma!? Chociaż... nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Sprytna sztuka, da on sobie radę! Zresztą ma przecie kontrakt... Nie! nie... to wszystko bajki... I syna sprowadził... Młody już na tę kampanję miał zostać dyrektorem... Wachtman wychodzi... Wolę ja się *starego* trzymać... Z tej gadaniny nic nie będzie, — rozmyślał — zamiast jednego, będziemy mieli tylko dwóch Kurzbachów! Staryby młodego tak po nic nie zwoził... Hrabia hrabią, a administrator administratorem... Nie tak to łatwo go wyrzucić... Zobaczymy... z miny starego wyczytam, co się święci.

Zamyślił się.

Tymczasem Jan, podjechawszy pod rosnący przy wale białodrzew, zatrzymał konie. Gżycki wysiadł i nie zwlekając, puścił się szybkim krokiem ku przewozowi. Gromadka chłopów, czekająca na brzegu, pokłoniła mu się zdaleka. Odkłonił się.

— Prom na tamtej stronie? — spytał.

— A juści — odpowiedziano. — Czeka na podróżnych.

— A kolej już gwizdała?

W miejsce odpowiedzi dał się słyszeć przeciągły świst. Niebawem na przeciwległym brzegu wszczął się ruch. Nadjechało kilka furmanek. Przewoźnicy podciągnęli prom liną i zarzucili kładki.

Gżycki przysłonił dłonią oczy, spojrzał. Flisy pośpiesznie wnosili rzeczy podróżnych, składając je na ławkach. Gżycki wpatrywał się bacznie.

— Jest — szepnął po chwili.

Na prom wchodził otyły mężczyzna średniego wzrostu, podpierając się laską. Na głowie miał czapkę bez daszka, z ramion spadał mu aż do ziemi pled, co całej postaci nadawało wygląd niezwykły. Jeden

z przewoźników niósł przed nim fotel składany, który rozstawił na środku promu. Podróżny gestykulował żywo, a choć odległość nie dozwalała słyszeć głosu, z ruchów znać było, że się o coś gniewa. Wreszcie zasiadł wygodnie na przygotowanym fotelu, wyciągnął nogi przed sibie i widocznie upatrywał kogoś, bo, podobnie jak Gżycki, przysłonił dłonią oczy.

Gżycki dostrzegł ten ruch. Wydobył z pośpiechem chustkę i jął wymachiwać w powietrzu, sygnalizując. Poczem zaczął biegać nad brzegiem tam i z powrotem, zaniepokojony jak kokosz, gdy wodzone przez nią kurczęta na wodę spłyną, ona zaś dosięgnąć ich nie może.

Tymczasem prom odbił od brzegu. Rozległ się miarowy odgłos bijących w rzekę wioseł; żylaste, nagie ręce przewoźników, to unosiły się w górę, to gięły w dół, walcząc z prądem rzeki. Stojący u rudla stry flis, pochylał się całą postacią naprzód, kierując wprawnie. Niekiedy rzucał kilka słów komendy towarzyszom, czasem silniej w wiślaną falę uderzył. Wtedy prom zmieniał kierunek, omijał wynurzającą się mieliznę i sunął dalej, kołysząc się zwolna. Przeprawa szła szybko. Plusk wioseł, chlebot fal kolebiących w dno promu, coraz wyraźniejszym się stawał. Można było już rozróżnić głosy ludzkie, pojedyncze wyrazy. Dreptający po brzegu Gżycki ponowił sygnał chustką. Siedzący na fotelu podróżny zdawał się tego nie widzieć, dopiero gdy Gżycki, pragnący bądź co bądź zaznaczyć swą obecność, krzyknął: *Hop! hop! Habe die Ehre!* podniósł się z siedzenia i skinął ręką. Poczem zaczął przynaglać przewoźników do pośpiechu.

Muskający szarą wstęgą Wisły wiatr niósł ku brzegom szorstkie echo słów:

— *Nu!! Schaffkopf! Halunker! Faulenzer! Nu!*

Ręce chłopskie poruszyły się jeszcze szybciej, mięśnie wytężały się silniej. Prom, pchnięty magiczną siłą cywilizacyjnych dźwięków, przybił do brzegu.

Na brzegu stał w pokornej postawie, z odkrytą głową Gżycki, oficjalista cukrowni, której pan Otto Kurzbach był od lat dwudziestu pięciu administratorem, a pan Horst Kurzbach miał zostać dyrektorem, o ile bajki chłopskie nie miały podstawy, i witał przybyłego:

— *Gehorsamster Diener! Herr Admininistrator!*

— *Malzeit Gżicki!* — brzmiała odpowiedź Kurzbacha.

Z trzech ludzi, którzy niebawem mieli dążyć razem do polskiej wioski, jeden tylko stary Jan, stojący obok koni na wałowym wzgórku, przemówił zrozumialej i szczerzej:

— Ano! pojedziewa ze *świabem!* pojedziewa! Ścierwo opasłe... Będzieta miały co ciągnąć! Psiakość!

Mówił do czwórki kasztanów.

Kurzbach, opierając się na ramieniu idącego ciągle z odkrytą głową Gżyckiego, z trudnością wy dostał się na stromy brzeg, na którym stał ekwipaż. Długie płaskie stopy otyłego administratora zapadały się w sypki piasek; Kurzbach mruczał i sapał, całym ciężarem pokładając się na towarzyszącym mu oficjaliście.

Tymczasem przewoźnicy wynosili z promu rzeczy i pakunki: olbrzymi kufer podróżny, osłonięty futerałem z nieprzemakalnego płótna, sakwojaż, fotel składany, derę strzyżoną i kilka jeszcze innych ściśniętych w paski przyborów.

Kurzbach skinął na jednego z niosących, zapuścił rękę w kieszeń szerokich spodni i nie patrząc na nisko kłaniającego się chłopa, dał mu kilka sztuk drobnej monety.

— Nu Gżicki! — odezwał się po chwili, ruchem głowy ukazując na pakunki.

Gżycki własnoręcznie jął pomagać przewoźnikom i Janowi, który, pokłoniwszy się kilkakrotnie, przywiązywał teraz kufer za powozem. Oficjalista naglił:

— Prędzej! prędzej! a uważnie, żeby się rzeczy w drodze nie obtarły.

Z wielką też starannością sam układał zawiniątka i paczki, ukradkowo spoglądając w stronę stojącego nieopodal Kurzbacha, jakby badał, czy ten pieczołowitość oficjalisty o dobro pańskie spostrzega.

Ale Kurzbach przyglądał się tym zabiegom i krzątaniom obojętnie, parokrotnie zaledwie raczywszy wykrzyknąć stereotypowe:

— *Nu* Gżicki!

Stał nad brzegiem Wisły z głową podniesioną do góry, wydąwszy wargi, z okiem utkwionem w okoliczną przestrzeń, jak wódz - zdobywca, rozpatrujący zajęty plac boju.

Dopiero na głos Gżyckiego: *Schon fertig! Herr Administrator!* ruszył zwolna ku pojazdowi i podsadzony przez otwierającego drzwiczki oficjalistę, siadł, nie zwracając najmniejszej uwagi na ponawiane niskie ukłony starego Jana.

Gżycki otuliwszy nogi administratora derą, usadowił się na przodzie.

Ruszono.

Jakiś czas jechano w milczeniu. Gżycki nie śmiał pierwszy wszczynać rozmowy, Kurzbach zaś zapaliwszy cygaro, rozglądał się jak poprzednio, badawczo wokół, rzucając od czasu do czasu przenikliwe wejrzenie na oficjalistę.

Wjeżdżano do najbliższej wioski. Zła wogóle droga, w opłotkach wiejskich była jeszcze gorsza. Kałuża zlewała się z kałużą, wybój z wybojem. Pojazd co chwilę przechylał się to w prawo, to w lewo.

Kurzbach zaczął się niecierpliwić.

— Gżicki! — odezwał się gniewnie — dlaczego drogi nie naprawiono? Przecież kazałem, aby każden z plantatorów płacił na ten cel po kopiejce z dostawionego korca buraków.

Gżycki odrzekł nieśmiało:

— Nie chcieli!

Kurzbach wybuchnął.

— Nie chcieli? *Verflucht!* Dlaczego nie chcieli? Przecież cukrownia nie może własnym kosztem robić takich nakładów. Zresztą od lat kilku zaprowadziłem taki porządek... płacili... Co to ma znaczyć Gżicki?! kto się pierwszy sprzeciwił!?

Oficjalista westchnął:

— *Nu* gadać! Pewnie ten *Prusdowic*...

— Istotnie pan Bruzdowicz pierwszy odmówił składki.

Kurzbach zaśmiał się złowieszczo.

— Ha! ha! *Halunker!* ja mu pokażę! Nie dać zaliczki! Niech mi Gżicki przypomni, albo...

Po chwili zaś dodał:

— Czy mój syn... pan Horst — poprawił — tam bywa? Hm?

Gżycki zawahał się.

— To jest... tego...

— Bywa? — powtórzył ostrzej Kurzbach.

— Czasami... w niedzielę... — wybąknął pytany z widocznem zakłopotaniem i obawą.

— To bardzo dobrze—odrzekł Kurzbach z flegmą.

Gżycki zdumiał. Spodziewał się wybuchu gniewu, tymczasem, przeciwnie, tak same słowa Kurzbacha, jak i ton, w jakim wypowiedziane zostały, mówiły co innego.

Był to dla Gżyckiego zawód miły. Choć więc nie odgadywał przyczyn takiego zapatrywania się administratora, ośmielony, uważał za stosowne korzystać ze sposobnej chwili i nie przerywać rozmowy.

Jakoż zaczął nanowo:

— Pan Horst bywa u państwa Bruzdowicz, zapewne w interesie plantacji. Pan Bruzdowicz cieszy się wśród obywatelstwa dużem uznaniem... Podobno stanowczo zażądał podwyżki... inni gotowi pójść za

jego przykładem. Pan Horst... pan dyrektor... zapewne pragnie wpłynąć na...

— A zkąd Gżicki wie, że Horst został dyrektorem? — spytał Kurzbach, przerywając.

— Ja? niby... Wszyscy o tem mówią...

— Mówią? Ale przedtem rozpowiadano co innego? — surowym tonem zagadnął Kurzbach, a gdy Gżycki nie odpowiadał, powtórzył rozkazująco:

— *Nu* Gżicki! mów! Opowiadali, że ja już nie będę administratorem! Cieszyli się!... ha! ha! — zaśmiał się sucho.

Gżycki również nadrobił śmiechem i nie odpowiadając wprost, przemówił:

— Pan administrator wie o wszystkiem...

— Wiem.

— Byli jednak tacy, co się tą niemiłą zapowiedzią zmartwili — wtrącił Gżycki znacząco.

Kurzbach spojrzał nań uważnie, poczem rzekł:

— Ja mam dobrą pamięć. Ja będę pamiętał!

Była w tych słowach i obietnica nagrody i pogróżka zarazem.

Gżycki zrozumiał to dobrze. Przyszedł mu na myśl zaraz wice-dyrektor fabryki, Olszyński, który jawnie przeciw administratorowi występował.

— Tego djabli wezmą! Nie chciałbym być w jego skórze — rozważał w duchu. — I chemikowi się dostanie. Stary nie lubi żartować... Ale co mi tam do tego, bylem ja miejsca nie stracił.

Niemniej postanowił skorzystać z wygodnego sam na sam i upewnić się stanowczo, jak rzeczy stoją, bez świadków.

Twarz nastroił odpowiednio, i chociaż rozmawiano po niemiecku, obejrzał się na furmana z dobrze udaną ostrożnością, poczem nachylając się prawie do kolan Kurzbacha, przyciszonym głosem zaczął:

— Jabym panu administratorowi miał coś do powiedzenia...

— *Nu!?*

— Ten cały *strejk* między plantatorami to sprawka pana Bruzdowicza i... i... Olszyńskiego.

Kurzbach popatrzył nań uważnie, przenikliwie.

— Tak Olszyńskiego — ciągnął Gżycki. Przywidziało mu się, że powinien zostać dyrektorem i teraz...

Kurzbach machnął pogardliwie ręką, jakby go ta wiadomość nic a nic nie obchodziła.

To Gżyckiego zbiło z tropu, zamilkł, ale po chwili zaczął z innej beczki.

— U pana Bruzdowicza odbył się w tych dniach zjazd obywateli. Pan dyrektor był także zaproszony... Uczestniczył... Podobno plantatorzy wnieśli podanie do hrabiego z żądaniem podwyższenia ceny buraków o dwadzieścia kopiejek na korcu...

Kurzbach uśmiechnął się szyderczo:

— A *Gżicki* co o tem myśli — zagadnął.

— Ja? Ja?... Jeżeli mi wolno wyrazić swe zdanie, to... sądzę, że do wiosny jeszcze daleko. Mamy czas. Na jesieni wszyscy są przy pieniądzach, ale po Nowym Roku zmiękną. Zgodzi się jeden... drugi... trzeci i bez podwyżki się obejdzie...

Kurzbach zaczął się śmiać na cały głos.

— *Du hast Kopf Gżicki! du hast Kopf!* Tak będzie! tak będzie... *Wir kennen unsere Papenhaimer* — bełkotał, klepiąc oficjalistę po ramieniu. Poczem wydobywszy cygaro, dał go towarzyszowi.

Gżycki przyjął ten namacalny dowód zadowolenia z oznakami najżywszej radości. Ujął cygaro w dwa palce, delikatnie, powąchał, wzrokiem wyrażając zachwyt. Nie śmiał jednakże zapalić, dopiero gdy Kurzbach gestem dał do zrozumienia, aby to uczynił, uciął w zębach koniec i zatrzasnąwszy zapałkę, pociągnął. Palił zwolna, napędzając dłonią ulatujące kłębiki dymu powtórnie w usta, a równocześnie myślał:

— Dobrze się zaczęło. Trzeba kuć żelazo na go-

rąco. Byłbym głupi, gdybym z okazji nie korzystał. Trzeba się *staremu* przypodobać... Gratyfikacja pewna.

I już otwierał usta, gdy Kurzbach nagle spytał:

— Gżicki... Ile lat już jestem administratorem?

Pytanie, uczynione znienacka, zastanowiło na chwilę Gżyckiego, jednakże po krótkim namyśle odpowiedział pośpiesznie:

— Dwadzieścia pięć... Od roku... panie administratorze!

— *Ja! ja! fünf und zwanzig!* — potwierdził Kurzbach. — *Fünf und zwanzig* — powtórzył, i wychyliwszy się z powozu powiódł wzrokiem w około.

Przejeżdżali właśnie w pobliżu pola, zasadzonego burakami. Kilkanaście robotnic wyrywało kłęby, składając je w pryzmy. Spódniczki krótkie, nogi bose, na głowie chustki wzorzyste, zawiązane w kształt turbana, ręce unurzane w ziemi.

Ujrzawszy zbliżający się pojazd przerwały robotę, wyprostowały się. Jedna z bliżej stojących pokłoniła się ręką do ziemi, za nią poszły inne, a po chwili, jakby na powitanie podróżnych, rozległ się śpiew.

Zadźwięczała w powietrzu tęskna nuta ludowej piosenki.

Gżycki — struchlał.

Dziewczęta śpiewały:

„Matko Boska! polska! ochraniaj Polaków,
„Tych przybłędów Swabów powrzucaj do krzaków."

Tak śpiewały. Mimo odległości słyszał najwyraźniej i zląkł się. Kurzbach rozumiał, a nawet mówił nieźle po polsku. Treść przyśpiewki mogła go w haniebny humor wprowadzić. Na samą myśl o tem Gżyckiego ciarki przeszły. Poruszył się niecierpliwie, począł chrząkać. Na szczęście jednak Kurzbach nie dosłyszał piosenki. Uwaga administratora była w tej chwili czem innem zajętą, bo twarz jego nie zmieniła

wyrazu, i duże pod krzaczastą brwią osadzone oczy, nie przestały wpatrywać się w pole buraczane.

Zalękniony Gżycki nie śmiał przerywać duchowej kontemplacji administratora. Pojazd ruszył żwawiej. Niebezpieczeństwo minęło, mimo to śpiew dziewcząt odebrał mu chęć do dalszej rozmowy. Dłuższy czas jechali w milczeniu, bo i Kurzbach opowiwszy się pledem, zamyślił się czegoś niezwykle.

Nie uśmiechał się już jak poprzednio, tylko zagłębiony całą postacią w powozie, pomrukiwał niekiedy do siebie:

— *So! So! fünf und zwanzig Jahren! So! So!*

W oddali zarysował się komin fabryczny. Z ceglanej szyi buchnął kłąb ciemnego dymu. Przedwieczorny wiatr rozsnuwał na tle jesiennego nieba szarą flagę przemysłu. W powietrzu czuć było kopeć węgla kamiennego, odór wytłoczyn buraczanych i smarów. Ukazywały się niekiedy białe fontanny pary, coraz wyraźniej rozlegały się ostre echa: warczenie maszyn, szczęk łańcuchów, przeplatane przeraźliwym poświstem kotłów parowych.

Powóz wiozący administratora wjeżdżał na terytorjum fabryczne.

Nagle, milczący Kurzbach podniósł rękę, ukazując na dach jednego z domków robotniczych. Gżycki spojrzał. Na dachu siedział zakurzony popiołem kot. Przed domem stała wyrobnica w zwykłej odzieży, trzymając zamorusane dziecko na ręku.

— Widzisz *Gżicki?* — spytał Kurzbach.

— *Ja wohl* — odpowiedział oficjalista na chybił trafił.

— *Schmutzig! schmutzig! alles schmutzig!* W tym kraju nawet koty brudne! pfuj — zauważył lekceważąco Kurzbach i splunął.

Wyrzucona z gardziela niemieckiego ślina padła na ścieżkę wydeptaną stopami białych murzynów,

idących właśnie na *fajerant* do cukrowni. Wszyscy odkryli z pokorą głowy, witając mijający ich pojazd.

Za chwilę stary szwajcar Pętak otwierał lewą ręką wjazdową bramę. Prawą urwała mu przed paru laty centryfuga.

II.

— Walu!

— Co mateczko?

— Kolacja gotowa a Janka nie widać. Już po dziewiątej — odezwała się pani Olszyńska do krzątającej się przy stole córki.

— To też nie czekajmy. Za karę niech je sam — odrzekło dziewczę wesoło, równocześnie podsuwając matce półmisek.

Olszyńska westchnęła.

— Możeby posłać do fabryki... dowiedzieć się — zaczęła znowu.

— Jeśli mateczka chce, to każe Antosi, chociaż zdaje mi się, że dziś bez Janka będziemy się musiały obejść.

— Jakto? czyżby gdzie pojechał?

— Ależ nie! nie! mateczko... tylko... tylko...

— Mówże, trzpiocie! Widzisz, jakam niespokojna!

W błękitnych oczach Wali zajaśniał figlarny uśmiech. Podbiegła do matki, przytuliła główkę do zasępionej twarzy staruszki.

— Mamusia to mnie tak nie kocha, jak Janka... Żeby mnie tak nie było, to nic... Ale gdy Janka braknie, to mamusia zaraz... trapi się... martwi... nie je...

Słowa przeplatała całusami.

— Oj, ty! nic dobrego! — przerwała jej Olszyńska. — Zazdrośnico! Czekaj! zaraz Jankowi powiem, jaką to ma dobrą siostrę — pogroziła żartobliwie.

Oblicze staruszki zaczęło się rozpogadzać, Wala chichotała w dalszym ciągu:

— Matuchno droga! serdeczna! Janek się teraz pewnie w najlepsze bawi... Przyjechał pan administrator... przyjęcie... mówił mi pan Horst... Zaproszono wszystkich urzędników... Przecież Janka nie pominięto! Ach! jak jabym chciała być choć raz na takim „szwajnfeście"! — dokończyła, klaskając w dłonie.

W oczach Olszyńskiej pojawił się znowu niepokój. Spojrzała uważnie w ożywioną twarz córki; drżące usta wyszeptały:

— Oj, dziecko! dziecko! co też ty wygadujesz!

Dolatujący odgłos kroków przerwał dalszą rozmowę.

Wala poskoczyła ku dzwiom. Uchyliła. Olszyńska drgnęła nerwowo.

— Janek! — wybiegło z jej ust.

Jakoż po chwili wszedł do pokoju Olszyński. Podszedł szybko do matki, ucałował jej ręce, uścisnął siostrę.

— Przepraszam za opóźnienie. Zdawało mi się, że wcześniej skończę. Miałem dużo roboty w laboratorjum — zaczął, zasiadając za stołem. — Mateczka niepotrzebnie czekała...

Słowom swym starał się nadać ton zwykły, mimo to jednak ucho matki odczuło w nich jakiś oddźwięk niezwyczajny.

Podniosła oczy. Twarz syna wydała się jej bledszą niż zwykle, a w głębi jego oczu tkwił wyraz smutku i rezygnacji, który daremnie ukryć się starał.

Sercem Olszyńskiej wstrząsnął ból. Przeczuwała coś złego, odgadywała, że przyjazd administratora, o którym wiedziała, że Janka nie lubi, gra tu poważną rolę. Przeraziła się i, nie zwlekając dłużej, spytała trwożliwie:

— Co ci jest Janku? mów! bój się Boga!

— Mnie? nic — odrzekł pośpiesznie. — Spraco-

wałem się, nic więcej. Walu! Proszę o herbatę — dodał, siląc się na spokój.

Poczem podszedł do matki i jeszcze raz ucałował jej ręce. To jednak nie uspokoiło staruszki, przeciwnie w duszy jej zrodziła się nieomal pewność, że jej ukochanego Jasia spotkało coś bardzo niemiłego. Łza zakręciła się w jej oczach, ujęła głowę syna w obie ręce, dotknęła drżącemi wargami jego czoła. Chciała o coś spytać, ale wzruszenie zatamowało jej głos! Po chwili dopiero, zapanowawszy nad sobą, zaczęła:

— Myślałyśmy, żeś poszedł do administratora.

— Przecież dzisiaj przyjęcie dla wszystkich — wtrąciła pytająco Wala.

— Czyżby cię nie proszono? — spytała w dalszym ciągu Olszyńska.

— Owszem! owszem — podchwycił żywo — ale nie mogłem...

— To niedobrze Jasiu! — tonem lekkiego napomnienia zauważyła matka, lecz widząc na czole syna chmurę, dodała zaraz łagodniej:

— Zresztą ty wiesz najlepiej... moje dziecko...

I ręka staruszki przesunęła się znowu po jego czole.

Na obliczu Jana odmalowało się wyraźne zakłopotanie, kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, wreszcie w siwych źrenicach zamigotał błyskawicznie gniew i duma, i rzekł z naciskiem:

— Mateczko! Sługą Kurzbachów być *muszę*, ale gościem *mogę* nie być. Co ja bym tam robił za ich stołem! Olszyńskich z Kurzbachami może łączyć jedynie służba! Więcej nic!...

Uderzył dłonią w stół.

Z rąk Wali wypadła trzymana filiżanka. Twarz dziewczęcia pokryła się przerażającą bladością, chabrowe oczy wyrażały ból i przestrach, z piersi wyrwał się spazmatyczny, zdławiony okrzyk...

Zatoczyła się i padła zemdlona.

Stało się to tak nagle, że Olszyńska w pierwszej chwili nie zdała sobie dokładnej sprawy z tego, co zaszło. Zostając również pod wrażeniem niezwykle ostrych słów syna, sądziła, że to prosty przypadek, wywołany roztrzepaniem dziewczęcia. Więc nie podnosząc się nawet z miejsca, zaczęła pół-żartem, pół-serjo:

— Widzisz trzpiocie! widzisz...

Ale gwałtowny ruch Janka, który z wyciągniętemi przed się rękoma, w jednym skoku znalazł się przy siostrze, nie dał dokończyć staruszce zaczętego zdania. Struchlała, załamała ręce...

Jan tymczasem, uniósłszy głowę zemdlonej, jął machinalnie rozcierać jej skronie, rozpiął stanik, wreszcie otoczywszy ramieniem kibić Wali, próbował unieść ją z ziemi. Przerażenie obezwładniło go. Z wielką też trudnością udało mu się podźwignąć zemdloną i ułożyć na kanapce.

— Mamo! wody! — wyszeptał złamanym głosem.

Stojącej jak automat staruszce łzy puściły się z oczu, oprzytomniała jednak o tyle, że z pośpiechem spełniła zlecenie syna. Jan gorączkowo pochwycił podaną szklankę. Sprysnął raz, drugi twarz chorej.

Wala otwarła oczy. Sekund kilka błędny wzrok dziewczęcia spoczął na twarzach klęczących przy niej: matki i brata, i znów niebieskie źrenice dziewczęcia zaćmiły się mgłą, bezwładne powieki opadły, pierś zadrgała nierównym, szarpiącym odruchem.

Teraz troskliwość macierzyńska przezwyciężyła osłabienie.

Staruszka porwała się z kolan i w mgnieniu oka, przyniósłszy flakonik z wodą kolońską, jęła rozcierać skroń i czoło chorej.

Po zbladłej, sztywnej twarzyczce Wali przemknął nikły obłoczek krwi, nabrzmiała na skroniach siatka

sinych żyłek poczęła zwolna pulsować, rozchyliły się kurczowo zaciśnięte wargi.

Z piersi staruszki wyrwał się z głębokiem westchnieniem dziękczynny okrzyk:

— Boże! Boże! Walu! Waluniu!

Jednocześnie Jan, któremu wzruszenie odebrało mowę, podsunął do wpół otwartych ust Wali szklankę z wodą. Piła chciwie.

Złe mijało. Sina bladość poczęła stopniowo ustępować. Drętwe powieki dziewczęcia osunęły się wgłąb pod czoło, z pod rzęs wyjrzały załzawione już oczy, po twarzy przemknął błyskawiczny skurcz.

Przez chwilę, przez jedną bolesną chwilę zdawało się, że nanowo zapadnie w omdlenie, lecz nagle wyprężyła się całem ciałem, podniosła obie dłonie do błyszczących łzą źrenic i ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła:

— Matuchno! Jasiu! Co się stało? Tak mi słabo...

Olszyńska wzięła córkę w objęcia, przytuliła główkę Wali do piersi.

— Dziecko kochane! Waluniu! Nic! nic... Już przeszło... Prawda? Upuściłaś filiżankę... Nic... nic... kochanko...

Z drugiej strony Jan, podtrzymując wpół trzęsącą się febrycznie kibić siostry, jął obsypywać pocałunkami jej ręce i mówił w przerwach z nieudaną tkliwością:

— Walu! Siostrzyczko! Skąd ci się to wzięło?... Nastraszyłaś nas... Patrz! matuchna przy tobie i ja... Waluniu!

Na twarzy Wali przesunął się odcień uśmiechu. Pochwyciła rękę matki, przylgnęła lepkiemi wargami, potem pochyliła się nad klęczącym przy kanapie Janem, przyłożyła główkę do jego czoła, potem znów do matczynej dłoni przypadła, aż wreszcie wśród tych uścisków wybiegło z jej piersi głośne łkanie:

— Co ja zrobiłam najlepszego!

Zamiast odpowiedzi, staruszka wpiła się pocałunkiem w twarz córki. Jan zaś, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zaczął zaraz, siląc się na spokój, w żartobliwym tonie przedstawiać:

— Widzisz, Waluniu! A mówiłem! oj te gorsety! te gorsety!

W duszy jednak był zemdleniem siostry zatrwożony na serjo. Wala była kompleksji słabej, niezmiernie wrażliwa, i takie wstrząśnienie mogła przypłacić zdrowiem.

Z trwogą też myślał o przykrych następstwach, a równocześnie zastanawiał się nad przypuszczalną przyczyną niespodziewanej słabości.

Przyszło mu do głowy, że to może jego słowa, wyrzeczone o stosunku z Kurzbachami, były mimowolnym tego powodem.

— Przelękła się pewnie, że mogę miejsce stracić, tak postępując — rozważał, wpatrując się w tulące się do siebie matkę i córkę. I nie wiadomo, dlaczego myśl ta czepiła się jego umysłu silnie. Daremnie jej się opędzał, wydała mu się najbardziej prawdopodobną.

Zdjął go żal. Uczuł naglącą potrzebę wynagrodzenia bezwiednie wyrządzonej przykrości.

Zrobiło mu się nad wyraz przykro, pożałował przedwczesnego uniesienia, słów wyrzeczonych, nie dlatego, żeby je chciał cofnąć lub innemi zastąpić, lecz, że tak silnie odczute zostały przez te dwa serca najbliższe, najukochańsze, przez dwie istoty, których się mienił opiekunem i był nim w istocie.

Chłodny namysł bowiem nie pozwolił mu wątpić, że i matka odgadła znaczenie wygłoszonych przed chwilą wyrazów.

Dość było spojrzeć na twarz staruszki. Była blada, w zmarszczkach i kątach ust rozsiadł się smutek i zastygł tam niedającem się zatrzeć, mimo wysileń, piętnem. Olszyńska z trudnością panowała nad cis-

nącemi się do ócz łzami, daremnie starała się nadać obliczu pogodniejszy wyraz.

Wzrok matki, biegnący z córki na syna, świecił tęsknotą, przejmującym bólem i troską.

Właśnie gładząc rozsypany w nieładzie płowy warkocz Wali, mówiła:

— Dziecko najdroższe! tyś się zlękła... ja wiem, dziecko! Janek przy nas... przy tobie... trzpiot serdeczny! Nic nam się złego stać nie może...

Słowa matki utwierdziły go w domyśle. Przerwał przeto z żywością:

— Tak, jestem przy was... i o ile to w mocy ludzkiej, nie rozstanę się nigdy... A tobie, Waluniu! — zwrócił się do siostry — wydało się pewnie, że mam zamiar opuścić fabrykę? Nie! nie! A może cię serduszko zabolało, że nie poszedłem tam... do nich... Przypuszczasz może, dzieciaku, że przez to stracę ich łaski? że pozbyć się mnie będą chcieli? Upewniam cię, że tak źle nie będzie. Zapewne, że moja obecność w cukrowni jest im nie na rękę, lecz póki jestem potrzebny... Zresztą ręczę ci, że się nawet niebytnością mej osoby na zabawie nie martwili... A tobie przykro było, dzieciaku złoty! Przykro?!

Mówił to miękkim, ciepłym tonem, serdecznie, wpatrując się tkliwie w twarz Wali.

— Nie! nie! — zaprzeczyła w pierwszej chwili. Ale zaraz wyrwało się z jej piersi westchnienie i jakby w uzupełnieniu ukrywanej dotychczas myśli, dokończyła:

— Było mi przykro... bardzo przykro... Nie wiem sama, dlaczego... Janku! a ty opuściłbyś bez żalu te... strony? — spytała nagle, płacząc zlekka.

— Zkądże takie myśli? Waluniu! — zauważyła Olszyńska. Jana zastanowiło to pytanie. Drgała w niem jakaś dziwna nuta, jakieś rozdwojenie między słowami a myślą, którą wyrażały. Odrzekł jednak szybko:

— Uspokój się, Waluniu! Mam kontrakt trzechletni, dobrze obwarowany. Do tego terminu nikt nas stąd nie ruszy...

— A później? a potem?

Próbował się roześmiać.

— Walu! ależ to indagacja! Potem?... Trudno mi być prorokiem... Trzy lata, to kawał czasu, siostrzyczko!

Poruszyła się niecierpliwie, wyprostowała, potrzęsła główką, i mrugnąwszy figlarnie, poczęła zwolna z robioną powagą:

— Tak, zapewne... Trzy lata... w życiu człowieka...

A potem, zmieniając ton, rzuciła nagle:

— A Brzostowa nie byłoby ci żal, Janku?

Na twarzy Jana odmalowało się zdziwienie.

— Brzostowa ? Brzostowa ? — powtórzył. — Skądże ci raptem Brzostów przyszedł do głowy, Walu?!

— Bo to przecież najbliższe sąsiedztwo naszej cukrowni!

Wracał jej zwykły figlarny humor. Roześmiała się, klasnęła w dłonie.

Jan sposępniał. Przelotna chmura niezadowolenia przesunęła się po jego czole. Po chwili dopiero, spoglądając na matkę, odrzekł wymijająco:

— Słyszy mama! co ten pustak wygaduje?... Przed chwilą narobiła nam strachu... teraz zaczyna mówić od rzeczy... A cóż mnie tak dalece Brzostów obchodzi?...

Olszyńska chciała się wmieszać do rozmowy, ale Wala podchwyciła żywo:

— Co? Wiemy coś o tem, braciszku! Niech mu mateczka nic nie wierzy... Już z Wandzią grają na *cztery* ręce — dogadywała, nachylając się do ucha staruszki. — Chodzą na spacery *bez cioci* Femci,

a pan Bruzdowicz całuje Janka w same *czoło*... Ot tu! — dokończyła, obejmując oburącz szyję Jana.

Odpłacił jej uściskiem, roześmiał nawet, ale w oczach miał zakłopotanie.

Zawahał się. Nie chciał kłamać, a jednocześnie zapragnął uniknąć przedwczesnych zwierzeń.

W kątach ust jego pojawiały się odbicia wewnętrznego przymusu i skrępowania. Wysunął się delikatnie z objęć dziewczęcia, powstał i odszedłszy kilka kroków, westchnął z głębi piersi. Nie umiał udawać, widocznem też było, że radby był zmienić treść rozmowy. Zauważyła to Olszyńska, początkowo z dobrotliwym uśmiechem słuchająca szczebiotu przychodzącej do siebie Wali i spojrzawszy znacząco na córkę, przerwała:

— Jaś zmęczony, potrzebuje wypocząć... A i ty, moje dziecko, lepiej, żebyś się wcześniej położyła. Osłabiona jesteś... Mnie również czegoś głowa boli...

Wstała, zabierając się niejako do odejścia. Chodzący dużemi krokami po pokoju Jan podszedł teraz żywo ku matce.

— Ma mateczka rację — zaczął — Wala niezdrowa... matuchna również jakoś mi niedobrze wygląda... Przytem... przypomniałem sobie, muszę jeszcze wpaść do fabryki... Dobranoc!

To mówiąc, włożył kapelusz i skierował się ku drzwiom.

Z progu rzucił:

— Dobranoc! dobranoc! Proszę na mnie nie czekać. Za to jutro będę miał czas wolny, to pogadamy swobodnie o wszystkiem, nawet o Brzostowie. Słyszysz, Walu! — dokończył weselej i znikł za drzwiami.

Matka i córka zostały same. Przez jakiś czas nie wyrzekły do siebie słowa. Olszyńska zamyślona, Wala zdetonowana niespodziewanem odejściem brata. Zwinęła się na kanapie w kłębek jak kociak, zrobiła nadąsaną minkę, wreszcie odezwała się bojaźliwie:

— Matuchno! Może się Janek obraził na mnie? Przecież nie powiedziałam nic złego. To wszystko prawda... jak mamę kocham!

Olszyńska westchnęła.

— Jaś dziś trochę podrażniony... Zresztą to takie jeszcze dalekie rzeczy, moje dziecko, że lepiej o nich przed czasem nie mówić. W naszem położeniu mogą zajść nieprzewidziane zmiany... kto może przewidzieć, co będzie jutro?

Wala drgnęła.

— Czy może Janek już mamie co mówił? — spytała z przestrachem.

— Ależ nic! nic! Zajść jednak mogą okoliczności... Janek miał zostać dyrektorem... Tymczasem...

— Tymczasem został nim pan Horst — podchwyciła Wala z dziwnym odcieniem w głosie. Głos dziewczęcia nie zdradzał naturalnego żalu, przeciwnie, pojedyńcze sylaby brzmiały nieomal radością.

Spostrzegła to sama. Wzdrygnęła się i z lękiem wstydliwym dodała zaraz:

— To niesprawiedliwie, mateczko.

Zajęta inną myślą staruszka, nie zauważywszy nienaturalnego zachowania się córki, westchnęła.

— Cóż robić, moje dziecko! Zawód to dla Jasia niemały. Spodziewał się... obiecywano mu... Ale nie mówmy o tem. Jesteś rozstrojona... Zanadto wszystko bierzesz do serca... To niedobrze Waluniu! Należy się zgadzać z wolą Bożą. Troska nic tu nie pomoże. Jaś przy swoich zdolnościach, prędzej czy później dobije się stanowiska — pocieszała. — A dla mnie starej, byleście mi zdrowemi były, moje dzieci!

Przy tych słowach trzęsącą się ręką pogładziła twarz córki. Tej zaś dziwna żałość rozlała się w piersiach nagle. Chciała coś mówić, zwierzyć się z tem czemś, co na dnie serca zakiełkowało w tej chwili. Chciała, nie mogła. Bo oto równocześnie uczuła w duszy trwogę i bojaźń, co jej szczerość skrępowały; ja-

kiś podszept wewnętrzny, zawładnąwszy zrodzonem, pod wpływem słów matki pragnieniem, doradził tajemnicę.

I z otwartych ust dziewczęcia wybiegło tylko jedno słowo:

— Mateczko!

Powstała z kanapki, objęła szyję staruszki, przytuliła się nerwowo do piersi matczynych i wybuchnęła płaczem.

Olszyńska wzięła to za chorobliwy objaw rozstroju. Zaczęła też zaraz, uspakajając, zachęcać do spoczynku.

— Widzisz! widzisz! Waluniu! Przejmujesz się niepotrzebnie — mówiła, trzymając szlochającą Walę w objęciach. — Uspokój się dziecko moje!... Połóż się... zwiążę ci główkę... Zrób to dla mnie... Zobaczysz wszystko będzie jeszcze dobrze. Tylko mi się nie martw, nie gryź... A teraz do łóżka... Zrobię ci lemoniady... Masz widać dreszcze... Zapocisz się... Przejdzie...

Co mówiąc, pociągnęła słaniającą się Walę ku sypialni.

Nie opierała się.

W parę minut potem z pod włóczkowej kołderki, wychylała się ukradkowo, przewiązana białą skropioną octem chustką, główka Wali, rzucając przenikliwe spojrzenie w stronę drugiego, stojącego przy przeciwległej ścianie łóżka.

Stamtąd spoglądały z niepokojem oczy matki. Duże, siwe źrenice, łez pełne.

Zanim sen je skleił, staroświecki zegar gdański wydzwonił północ.

Jana jeszcze nie było.

III.

Chłodne powietrze jesiennej nocy wracało Olszyńskiemu równowagę myśli.

Wychodząc, czuł się nad wyraz podrażnionym. Wzburzył go nawet naiwny szczebiot Wali, odczuwając i potęgując w Janie poczucie doznanego zawodu. Teraz refleksja zaczęła brać górę nad dorywczo napiętem wrażeniem, rad też był przerwaniu rozmowy, która go rozgoryczała jeszcze bardziej.

Uszedł kroków kilkanaście, bezwiednie kierując się w stronę fabryki. Przystanął.

Szkielet fabrycznego budynku jaśniał światłem. Pod ciemnem tłem nieba rozwieszał się baldachim odblasków, bramowany kłębami unoszącej się z rur i świstawek pary. Z nad kotłowni wystrzelał niekiedy snop wyrzucanych z palenisk iskier, szybował do pewnej wysokości i, zajaśniawszy centkowaną łuną, gasł w ciemności. Płaskie, pociągnięte smołowcem dachy cukrowni, lśniły z oddali wilgocią i ściekającym z wyżyn opadem skroplonej pary. Z górnych pięter, przez uchylone okna, widniały sylwetki pół-nagich robotników, stalowe tłoki, koła rozpędowe maszyn, migotały wirowo pasy transmisyjne, druciane liny elewatorów i miedziane kopuły ustawionych rzędem aparatów.

A wszystko to oblewał chaos ostrego, ogłuszającego łoskotu, szczęku, gruchotu, trzasku, tępych poświstów, przez które przedzierały się z trudnością stłumione echa głosów ludzkich i miarowy plusk płynącej nieopodal rzeki.

Wśród ciszy uśpionej przyrody, dzieło ludzkie — fabryka zdawała się być kolosem żyjącym, którego wnętrze szarpie ból konwulsyjny. Dygotały kamienne żebra ścian, kadłub budowli to kurczył się w cieniu, to rozprężał, rozrastał w strugach wylewającego się

przez otwory drzwi i okien, światła. Kolos dyszał ciężko, warczał, jęczał...

Olszyński oswojony był z tym widokiem. Od lat siedmiu pracował w cukrowni. Kiedyindziej byłby przeszedł obojętnie, nie zwracając uwagi, ale dziś, jakaś siła nieprzeparta pociągała go do tego gmachu, który tylekroć widział, a który teraz dopiero wydał mu się czemś więcej, niż wytworem ludzkich rąk i umysłu.

Oczu oderwać nie mógł. Patrzył z tą bezmyślnością, jaką wywołuje zwykle nadmiar cisnących się raptownie wrażeń. Szedł, przystawał i znowu szedł leniwym krokiem.

Od strony fabrycznego parkanu rozległ się odgłos kroków. Olszyński zawrócił. Nie życzył sobie spotkania z nikim.

Po chwili gromadka robotników mijała miejsce na którem stał poprzednio. Poznał ludzi z rafinerji. Szli już na północną „zmianę". Rozmawiali.

— Psiakość! — mówił jeden — straśnie cłeka ręce bolom od tej „*obsznajki*". Skóra z paliców złazi.

— Abo to „*apag*" lżejszy — zauważył drugi.

— A już najgorzej to w tych „*grubach*"...

— A ino! a ino! Tydzień przerobiłem, to mi wrzodzionki na nogach powyskakiwały. Gdzie najciężej, to człeka pakują.

— A na ten przykład przy *filtrach*, przy *klarówce* to same *olendry*. Gdzie lżej, to zaraz śwab być musi.

— A ino! I płoca tam wyższa i odzienia nie nadrzesz i nie napracujesz się...

Poufne wynurzenia robotników odpowiadały analogicznie myślom Jana. Potakiwał im też w duchu, nasłuchując uważnie, nie tracąc żadnego wyrazu.

Uczuł, że mógłby o sobie powiedzieć toż samo, że na równi z nimi ma prawo do niezadowolenia, do upomnienia się za doznaną krzywdę.

Uderzyła go przytem obfitość obcych wyrażeń w prostej mowie ludowej. Dotychczas nie zauważył

tego nigdy, a bodaj że nie zwracał na to uwagi.

Obecnie szepnął:

— Jak ci ludzie, własną mowę kaleczą!

I krzywda wydała mu się jeszcze większą.

Tymczasem jeden z robotników, zapaliwszy fajkę, mówił w dalszym ciągu:

— *Miemiec* spryśny, wszędy się wciśnie. Zresztą jakże ma być inaczej, kiej wszyćkiem rządzą same miemcy...

— Czy to nasi do tego niezdatni, czy co?

— Czy ja wiem! Widać... skoro nawet Olszyńskiego do rządów nie dopuszczają.

— E! e!—zaprzeczył palący fajkę stary chłop. — I Olszyńskiemu niczego nie brakuje. Ale „stary" ma kontrakt z hrabią, i syna na *derektorstwo* wepchnął.

— Szkoda! Z Olszyńskiego niezły szlachcic!

— Co nasz, to nasz...

Olszyńskiemu w piersiach wezbrało. Rozrzewniły go posłyszane słowa i pokrzepiły zarazem.

Był więc ktoś, co z nim współczuł, jego sprawę za słuszną uważał. Otucha wstąpiła w jego serce, a jednocześnie wzrok padł na bielejące w oddali ściany pałacyku w stylu włoskim.

Była to siedziba Kurzbachów, ojca i syna, prywatne mieszkanie zarządu.

Przez konary drzew, otaczających kępami pałacyk, przelewały się strumienie migotliwego światła.

Cały dół, gdzie administrator zwykle stawał, jaśniał rzęsiście. Z miejsca, na którem stał Olszyński, widać było wnętrze salonów. Olszyński znał przytem rozkład pałacu. Podszedł, wsparł rozpaloną głowę o żelazne sztachety, otaczające dziedziniec, i instyktownie jął śledzić oczyma.

Administrator przyjmował swych podwładnych.

W pierwszej niedużej salce siedzieli za stołem, okrytym kolorową w deseń serwetą, dozorcy fabryczni. Przed każdym stał olbrzymi kufel, w pośrodku

stołu umajona gałązkami świerczyny beczka. Najbliżej siedzący beczki dozorca z kościarni, Helmut Strübing, napełniał podawane przez towarzyszy od czasu do czasu kufle. Robił to z namaszczeniem i wprawą. Za dotknięciem jego ręki mosiężny kran tryskał brunatnym płynem równocześnie w kilka podstawianych naczyń.

Musiało być wesoło.

Oblicza biesiadników błyszczały, trzęsły się podbródki, roztwierały szeroko usta. Stukali wypróżnionemi kuflami w stół, przytykali w palce, kołysząc się na krzesłach. Niekiedy zrywały się ociężałe postacie, jak na komendę... Rozlegał się brzęk trącanych zamaszyście szklanic, usta rozchylały szerzej. Poczem cichło wszystko na sekund parę... Biesiadnicy w stojącej postawie, unosili demonstracyjnie w górę puste naczynia, Strübing znowu przeginał się nad stołem, dosięgając beczki. Ruch ten witali współtowarzysze szmerem radości i donośnym gardlanym śmiechem.

Bawiono się *gemütlich*.

W drugim salonie, za podobnie nakrytym stołem siedział sam administrator, mając po prawej ręce syna, po lewej ustępującego z posady dyrektora Wachtmana. Dalej kolejno urzędnicy administracji i kilku oficjalistów cukrowni, niemców.

Olszyński rozpoznawał wszystkich. Nikogo nie brakowało z wyjątkiem będącego na nocnej służbie „zmianowego". Prócz siedzącego na szarym końcu Gżyckiego i chemika Słodowskiego, byli to sami niemcy. Więc główny buchalter Liebsztorc, kasjer Eberwald, „maschienmeister" Knotz, starszy „zmianowy" Biertens, dwaj magazynierzy bracia Lautholmy, „pakmajster" Schulz i trzej młodsi praktykanci, świeżo przybyli z Brunświku, kuzyni Kurzbachów, których Olszyński osobiście nie znał.

I tu, podobnie jak w pierwszej sali, panowała ochoczość.

Otyła, ogolona twarz starego Kurzbacha, rozpartego w miękkim fotelu, lśniła zadowoleniem i pychą.

Wodził wzrokiem po obecnych, klepał siedzącego obok syna po ramieniu, śmiał się lub rubasznym ruchem zachęcał innych do picia. Sam też chwytał wówczas za płaski z zielonego szkła kieliszek i wychylał do dna. Poczem cmokał mięsistemi wargami, lubując się w smaku kwaskowatego „Mosel", którego kilka butelek stało na pogotowiu przy jego nakryciu.

Musiał już pić dużo, bo chwilami przymykał powieki, głowa opadała mu bezwładnie na piersi — drzemał. Wtedy Liebsztorc na jednym, a Gżycki na drugim końcu stołu, przybrawszy poważną minę, uciszali kompanję. Milkł pogwar, przerywano ożywioną rozmowę, każdy nieomal zastygał bez ruchu na swem miejscu, póki drzemiący Otto Kurzbach, rozbudzony silniejszem potarciem podbródka o sfałdowany gors koszuli, nie otwarł oczu.

Widok spanoszonego przybysza, w otoczeniu całego sztabu łaszących się na skinienie podwładnych, przejął rozgoryczonego Olszyńskiego wstrętem. Zatrząsł się, gorączkowo targnął kratą sztachet. Bo oto w tym momencie przesunęła się mu w pamięci słyszana przed chwilą rozmowa robotników, przypomniały się wydarzenia dnia: stroskana twarz matki, zemdlenie siostry i jeszcze inna postać kobieca, o piwnych, głębokich źrenicach, pociągłej regularnej buzi, sploty ciemnych pukli i rączka drobna, biała, którą z taką miłością do usť swych nieraz podnosił. Wspomniał przebyte w cukrowni lata pracy i wysiłku, cel, do którego dążył...

Wszystko odżyło w nim w tej chwili i zdawało się mówić:

„Patrz! tam twoi krzywdziciele! Pożeracze twej pracy, burzyciele spokoju, zawady szczęścia! Ci... obcy!"

Nagle, jakby dla większego jeszcze kontrastu, rozbrzmiał entuzjastyczny okrzyk kilkunastu głosów.

Uszu Olszyńskiego dobiegło gromkie:

— *Hoch! Hoch! Es lebe! Prosit!*

Pito z hałasem zdrowie administratora.

Dozorcy, biesiadujący w pierwszej sali, tłoczyli się teraz z podniesionemi w górę kuflami do stołu administratora, otoczonego przez dopuszczonych do bliższej kompanji gości. Wszyscy stali, pokrzykując wesoło, kolejno podchodząc do amfitrjona, trącając w jego kieliszek.

On powstał również. Wsparty o poręcz krzesła, mówił, dziękował za toast, poczem ukazawszy na syna, przedstawiał go widocznie w nowej roli dyrektora, bo otaczający zaczęli się cisnąć z kolei do młodego Kurzbacha.

Ten zaś, stojąc przy ojcowskiem krześle, rozpromieniony, z dumnie odrzuconą w tył głową, kłaniał się od czasu do czasu i ściskał wyciągane ku sobie dłonie. Przystojny blondyn, z rozczesanemi przez środek głowy włosami, z konopiastym, zakręconym w górę wąsem, z twarzą owalną ze śladami szram od rapirów, przytem dobrego wzrostu, choć mimo młodego wieku, otyły, miał w dużych błękitnych oczach coś sentymentalnego i junackiego zarazem, a w całym wyglądzie i układzie nieutemperowaną jeszcze rubaszność bursza.

Przyjmował powinszowania jako należny dank, z poufałością popularnego zwierzchnika, ale i z zacięciem wyższości i pewności siebie. Żadnej z wyciągniętych dłoni nie pominął, każdą uścisnął, ale nie było w tym uścisku wylanej serdeczności, tylko obojętna, zimna grzeczność, sztywne wyrachowanie.

Nawzajem i z zachowania się otoczenia, pomimo podniecającej atmosfery, przebijały służbistość i karność, ujmujące niejako w przepis rygoru ową pozorną *„gemütlichkeit“*.

Nawet w entuzjastycznych: *Hoch!* i *Prosit* czuć było mustrę, której indywidualny zapał poddano.

Była w tej fali głosów siła zwartej kolumny, tętno zjednoczenia drgnień zbiorowych, wyrzucanych z piersi na komendę, pod miarę, pod szafunek; w ożywionych ruchach ustopniowana jednolitość, bezwiedna łączność masowa, trzymająca wszystkich na wodzy, nie dopuszczająca zbytnich nad rachunek porywów.

Instynkty rasy odzwierciadlały się nawet w zabawie.

Olszyński dość miał tego widoku.

Wśród natłoku myśli, jedno widział tylko jasno, że był bezsilnym, odosobnionym pionem na tej szachownicy, którą obcy żywioł zajął, owładnął i niepodzielnie dzierżył.

Uczuł się złamanym i zniechęconym do dalszej walki, rozżalonym na los własny, który mu jej podjęcie nasunął.

Jakoż, wracając wolnym krokiem ku domowi z mocnem postanowieniem porzucenia niewdzięcznego posterunku, rozważał:

— Nie mam tu dłużej co robić. Hrabia niema zaufania do swoich, lub siedzi w kieszeni Kurzbacha. Poparcia znikąd nie znajdę, będę się truć lata całe bezowocnie. Przypśćmy, że „stary“ ustąpi, to Horst zajmie wtedy jego miejsce... A ja? ja będę wiecznie popychadłem w ich ręku. Trzeba mi będzie tylko matkę i Walę przygotować... i...

Na tę myśl ogarnął Olszyńskiego żal. Wobec czynionych mu obietnic i zapewniań, mimowoli wpoił w obie kobiety przekonanie, że przełamie wszelkie zapory hartem woli i pracą, zdobędzie stanowisko, które nietylko za dostatni kawałek chleba, lecz i za odzyskaną na nieprzyjacielu placówkę uważał. Nieraz w rozmowach z matką dowodził z zapałem, że jedynie brak wytrwałości i pożądliwość zdobycia odrazu wiel-

kich rzeczy, tak często w naszem społeczeństwie napotykane, ułatwiają drogę przybyszom. Matka słuchała, przejęta wiarą, że jej Jaś właśnie te wyjątkowe zalety posiada. Nie wątpiła też nigdy, widząc pracę i zamiłowanie zawodu syna, że jeżeli kto, to on, nie cofnie się w pół drogi, nie ulegnie trudnościom. Patrzyła więc z ufnością w przyszłość, niejednokrotnie słowem otuchy łagodząc drobne przykrości i zachęcając Jana do wytrwania.

I dziś przeczuwał, że się spotka z delikatnym oporem matki, z przypomnieniem słów własnych, którym smutna rzeczywistość przeczyć nakazywała.

Zawahał się, i jął pytać samego siebie, czy mu się godzi tak raptownie burzyć spokój dotychczasowy matki, podcinać zaszczepioną w jej piersiach nadzieję, a równocześnie i w jego duszy zaczął się rodzić bunt jakiś przeciw powziętemu przed chwilą postanowieniu.

Jakiś głos wewnętrzny począł mu teraz szeptać tchem gorączkowym, nie dającym możności rozgatunkowania myślowych pobudek:

— Nie! nie! tyś tu zostać powinien. Tu cię rzucił nie los ślepy, lecz przeznaczenie, czuwające nad dolą każdej jednostki. Tyś tu zostać powinien dlatego i właśnie dlatego, że nikogo więcej prócz ciebie niema, że sam jeden sterczysz, jak pal tamowy, wśród zalewu obcych żywiołów.

Paliło mu się teraz w głowie. Na czoło wystąpiły silne pręgi wibrujących naprężonemi nerwami żył.

Nacisnął skronie. Przerzucana z krańca w kraniec myśl wydobyła się gwałtem na usta.

— Prawda! — rozmawiał z samym sobą — powinienem zostać. Powinienem... Tegoby im potrzeba było, żeby mnie wyrugowali...

Zaciął zęby, zaśmiał się gorzko.

— Także im chciałem na złość zrobić! Dopieroby Kurzbach zacierał ręce z radości, pozbywszy się mej

wstrętnej osoby. Już to miłujemy się wzajemnie... tylko, że ja...

Chciał powiedzieć: „mam prawo do nienawiści“, i jakby nie był pewnym tego prawa, jął pamięcią szukać dowodów, uprawniających wrogie uczucie.

I znowu jakiś głos wewnętrzny niósł mu w odpowiedzi:

— Masz! masz! za kęs chleba wydzierany przebojem, za grosz wyciśnięty z tej ziemi, a uwożony na obczyznę, za wzgardę dla plemienia, z którego potu, gwałt najezdnika, tem sroższy, że osłoniony przyłbicą cywilizacji, czerpie sok żywotny, za ucisk słabszych, za butę i hasła jaszczurcze...

Przed oczyma Olszyńskiego przesuwały się, jak żywe, przybladłe, wypracowane postacie robotników, ich twarze, wyssane gorącem fabrycznem, policzki zaklęśnięte, nagie piersi i ramiona, a wśród nich upasione, czerstwe, uśmiechnięte figury obu Kurzbachów i całego grona ucztujących w włoskim pałacyku cywilizatorów polskiego chłopa.

I niewiadomo dlaczego w tym kalejdoskopie odtworzonych wyobraźnią osób, przesunęła się również, okryta mgłą zamglenia, twarz Wali i dwór brzostowski, i lipa z darniową ławeczką wokół pnia, na którym ktoś wyrzeźbił dużemi literami: „*Wanda B*“.

Ten ktoś musiał być Olszyńskiemu bardzo bliskim i bardzo drogim, bo w zasępionych oczach zajaśniał mu nagle błysk radości.

— Zostanę! — postanowił nieodwołalnie, wchodząc na palcach do mieszkania.

Matka i siostra spały.

IV.

Nazajutrz było święto, dzień przeznaczony w fabryce na „wysładzanie“, oczyszczanie naczyń i przyrządów. Czynność ta, wykonywana przez połowę zwy-

kłej liczby robotników, nie wymagała zbyt wielkiego dozoru.

Olszyński, nie potrzebując iść do cukrowni, przepędzał zazwyczaj dni świąteczne w domu, lub wyjeżdżał do państwa Bruzdowiczów do Brzostowa. Wypoczywał też dłużej, zwłaszcza, że wieczór sobotni przepędzał zwykle nad szczegółowem obliczaniem całotygodniowego przychodu cukrzycy i oznaczaniem przeciętnej cukrowatości przerobionych buraków.

Tego dnia, po kilkogodzinnym zaledwie spoczynku, zerwał się wyjątkowo wcześnie. Odbiegł go sen, choć czuł się zmęczonym i nieswoim.

Zajęta przygotowaniem śniadania Olszyńska, zdziwiła się, ujrzawszy syna na nogach.

— Dzień dobry mamie — zaczął, całując ręce staruszki. — Jakże się ma Wala?

— Śpi jeszcze. Chwała Bogu, gorączki nie ma... Zdaje się, że to było zwykłe osłabienie, a może i trochę wzruszenia. Wrażliwa jest bardzo.

— Bardzo. Zauważyłem to nieraz. Egzaltuje się, przejmuje lada drobnostką. A mateczka jakże się czuje? — zapytał.

— Dobrze... Zupełnie dobrze — podchwyciła żywo. — Co tam mnie starej potrzeba...

Zaczęła rozlewać herbatę.

Zasiedli do śniadania. Sama Olszyńska jadła mało, ale Janowi raz po raz podsuwała, to chleb, to masło, to sucharki, zachwalając i zachęcając. Brał z talerzyków machinalnie, jadł, ale widocznem było, że niema apetytu, przymusza się jedynie przez wzgląd na matkę.

Wreszcie odsunął nakrycie, podziękował, pochodził chwil kilka po pokoju i spojrzawszy przez okno, rzekł:

— Dzień piękny. Możeby panie przejechały po obiedzie do Brzostowa? Wala się rozerwie...

— A ty? — rzuciła niespokojnie matka.

— Ja? nie wiem jeszcze. Może coś wypaść niespodzianego. Administrator może mię potrzebować. Ale będę chciał... będę chciał...

Podeszła i pogładziła go po czole.

— Bez ciebie, Jasiu, byłoby nam nijako — przemówiła, patrząc mu w oczy.

— Obowiązek przedewszystkiem — podjął, zdobywając się na ton weselszy. — Przypuszczam jednak, że będę mógł paniom towarzyszyć. Zajdę teraz do fabryki, wywiem się. Zadysponuję konie na godzinę... trzecią... Dobrze? trzecią... niech tylko Wala nie marudzi z ubraniem...

Zabierał się do wyjścia. Olszyńska zaczęła niby uprzątać ze stołu, w rzeczywistości jednak przestawiała tylko talerze i szklanki z miejsca na miejsce, nie spuszczając z syna wzroku. Pozornie spokojną staruszkę, w głębi duszy gnębiła niepewność i niepochwytne przeczucie czegoś złego; gryzła ją troska o los Jana, a choć taiła zmartwienie, nie śmiejąc poprostu zapytać, co dalej począć zamierza, niemniej oczekiwała z utęsknieniem, aby sam na ten temat wszczął rozmowę.

Wówczas bez narzucania się mogłaby wyjawić swe zdanie, doradzić lub odradzić, jeśliby, działając pod wpływem chwilowego uniesienia, zamierzał uczynić krok niewłaściwy.

Uprzedzać tej chwili nie chciała, wiedząc, że Jan bezwzględnie zwróci się do niej o radę, wolałaby jednak, aby się to stało rychlej, prędzej, jeżeli ostatecznie stać się miało. Jakoż już od czasu przyjazdu administratora, zdawała się chwytać każdą sposobną ku temu okoliczność, aby tylko wyjść z trapiącego kręgu zwątpień.

Ostatecznie, nie mogąc dłużej utrzymać na wodzy zrodzonych z troskliwości macierzyńskiej pragnień, zdecydowała się na krok stanowczy.

Jan brał już za klamkę, kiedy, poprzednio obejrzawszy się wokół, znalazła się przy jego boku.

Pomarszczone ręce matki spoczęły na ramionach Olszyńskiego. Przyłożyła usta do jego czoła. Gorący, nierówny oddech musnął twarz Jana.

— Moje dziecko! moje dziecko!... — wybuchnęła silnie, naciskając siwą głową pierś syna.

A było w tym krótkim wykrzykniku tyle troski, taka łzawa wymowa zbolałego serca, taki dźwięk zatarganych niepokojeń najtkliwszych uczuć, że Olszyński nie potrzebował pytać — domyślił się wszystkiego.

— A, mamo kochana! niechże się mateczka o to nie frasuje! — jął uspakajać, nie domawiając całości zdań. — Stało się... Sprzątnęli mi dyrektorstwo z przed nosa... trudno! nie odrazu Kraków zbudowano... ale że mnie się z fabryki prędko nie pozbędą, za to ręczę! Bodaj, że to nawet mieli na celu... Myśleli, że się zrażę... usunę... A ja, powiadam mateczce — nie wziąłem tego nawet tak dalece do serca... No! obejść... obeszło mię zapewne... człowiek człowiekiem, ale już to samo, że nie jestem im na rękę, cieszy mię i zachęca do wytrwania.

Powtarzał przetrawione w nocy myśli głosem pewnym, stanowczym, jakby nigdy inny zamiar nie powstał w jego głowie.

Olszyńskiej ciężar spadł z serca. Uśmiechała się tylko przez łzy, nic nie mówiąc, Jan zaś kończył:

— Muszę się tylko teraz podwójnie pilnować w obowiązkach. Gotowi z byle pretekstu skorzystać. Właśnie dlatego idę do fabryki, choć wiem z góry, że tam moja obecność dziś nie konieczna. Ale po południu postaram się być zupełnie wolnym i będę służył do Brzostowa...

Obsypał ręce matki pocałunkami.

— A może to niedobrze, Jasiu — zauważyła nieśmiało — żeś w przyjęciu u administratora nie uczestniczył?...

— Zapewne — odrzekł po chwilowym namyśle.— Należało się przełamać i iść. Nie zastanawiałem się w pierwszej chwili. Oczywiście, postaram się zatrzeć sprawę. Przy sposobności znajdę jaką godziwą wymówkę.

Wziął za kapelusz.

— A i z Gżyckim bądź grzecznie. To figura! — przestrzegła jeszcze.

— Wiem! wiem! Ich kreatura! A kto na przedpieklu mieszka... — rzucił na wyjściu ze śmiechem i ruszył szybkim krokiem ku zabudowaniom fabrycznym.

W drodze spotkał idącego do laboratorjum Słodowskiego.

Przywitali się.

Poczciwą, pucołowatą twarz chemika przebiegł wyraz zakłopotania.

— Kolega do pracy? Jak też polaryzują buraki z Brzostowa? — spytał od niechcenia Olszyński.

Słodowski potrząsł głową przecząco i zaczął mówić z jakimś nieusprawiedliwionym pośpiechem:

— Nie! nie! Wyszedłem się tylko przejść, bo mię czegoś łeb boli, ale do fabryki nie idę. Po co?

Zdjął czapkę, potarł krótko przystrzyżoną czuprynę i jakby sobie dopiero co przypomniał drugą połowę pytania Olszyńskiego, dodał:

— A! o buraki z Brzostowa pytacie? Dokładnie nie pamiętam. Ale dobrze... dobrze. Coś siedemnaście *Brixa*, a czternaście z dziesiętnemi cukru...

Mówiąc to, nie patrzył na Olszyńskiego, tylko na czapkę, którą dotychczas trzymał w ręku i miał ją, pociesznie wykręcając na wszystkie strony. Wydawał się strapionym, jakby niezadowolonym ze spotkania.

Olszyński uczuł się takiem zachowaniem chemika niemile dotkniętym, tem więcej, że Słodowskiego za prawość charakteru i pracowitość cenił wysoko. Mając nabitą głowę wypadkami dnia wczorajszego, jął

przypuszczać, że niełaska administratora oddziałała na otoczenie, i że wpływowi temu uległ nawet Słodowski.

Jakoż uśmiechnąwszy się kwaśno pod wąsem, przyśpieszył naumyślnie kroku, rzuciwszy zimne „do widzenia z panem“...

Lecz Słodowski, który zdawał się myśli zbierać, w moment znalazł się przy nim i chwyciwszy za rękaw paltota, zatrzymał. Olszyński zasępiony przystanął. Słodowski jął coś niewyraźnie mruczeć pod nosem, przestępując z nogi na nogę, wreszcie z wybitnem zafrasowaniem rzekł, ujmując Olszyńskiego za rękę:

— Chyba wierzycie, panie Janie! żem wam jest szczerze życzliwy?...

— Cóż znowu? — przerwał Olszyński.

— Wierzycie? to nie gniewajcież się, że powiem, co mam na wątróbce. Drąg jestem! prostak! cham! chłopski syn! ale jak Boga kocham! łgać nie umiem, a co czuję, tnę prosto z mostu!

— Do czegóż zmierzacie? — zagadnął Olszyński.

Chemik znów potarł czuprynę, przesunął ręką po okrągłej twarzy, szybkim ruchem nasadził zmiętą czapkę na głowę i wybuchnął:

— Wiecie? Jak się na to wszystko patrzy, to człowieka zbiera chęć kląć od rana do wieczora! Jak Boga kocham! ale wy toście źle zrobili, nie przychodząc wczoraj...

Ukazał w stronę pałacyku.

— Albo co? — bąknął Olszyński z pozorną obojętnością.

— Trza było iść — ciągnął Słodowski, zatrącając z mazurska.—Nie gniewajcie się, ale trza było! Darujcie, że to mówię... starsi jesteście... mądrzejsi, ale, jak Boga kocham! ja na waszem miejscu właśnie bym przyszedł... Na złość!

Olszyński zaczął się śmiać oczyma, Słodowski zaś wymachując rękoma, mówił z coraz większym ferworem:

— Wierzajcie! U mnie to tak... Szelmę zwącham o sto kroków. . jeśli mogę, to go zaraz za łeb cap! i o ziemię, a jak nie, to czekam. Czy myślicie, że mnie tam z nimi przyjemnie było? hm! Jak Boga kocham, plunąć. Mam *katzenjammer*, tu i... tu — ukazał na głowę i piersi. — Ale co robić? Wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony... inaczej ciebie zakraczą! Wiecie co? panie Janie! wy szlachta, gniewajcie się... ale wy z nimi nie umiecie... Wam, jeszcze na wsi siedzieć, na zagonie uprawnym panować, na swobodzie! Tam potraficie walczyć i zwyciężać, ale tu zawsze was te przybłędy zjedzą... Zniechęcą... obrzydzą zawód... boście za uczciwi! a może i za honorowi. Macie jedną tylko miarę, jak pręt do morgi, i wszystko nią mierzyć chcecie. Po staremu pługiem w skibę i jazda! przez życie! A tu panie! świat inny... oskardów trzeba, nie lemieszy...

Rozgadał się na dobre. Olszyński milczał, nie przerywając.

— Zetrze wam się lemiesz, zeskibi... Natraficie na głaz i halt! A tu trza pług w garść i w górę! przenieść i ryć dalej, bo to nowizna, co krok, to korzeń, pałyga, krzemień... Prostej skiby nie wyorzesz! a i ręce i tu zaboli...

Wskazał na serce.

Olszyńskiego zaczęły brać te słowa. Przyznawał im wiele racji i potakiwał w duchu. Istotnie, na tej „nowiznie“, jak Słodowski przemysł nazwał, za dużo spotykał zawad, za wiele przeciwności, nie chciał się też zapierać przed samym sobą, że wolę i chęć wyszczerbił. Niemniej jednak nie czuł się winnym i dlatego spojrzawszy w ruchliwą twarz chemika, rzekł:

— Wszystko to prawda, ale do krzywizn nie jesteśmy... ja przynajmniej nie jestem stworzony.

— Ani ja! — podchwycił Słodowski z żywością. — Można jednak prostować dotąd, aż się wyprostuje. Można zajeżdżać z tego i z tego boku, póki nie będzie jak strzelił! Tylko, że trza czasem i karku nagiąć! A wy...

Zapalił się.

— Jest nas właściwie trzech w fabryce. Wy, ja i Giżycki... O Giżyckim nie mówię, to jucha! lizus... łyk, gibki jak wąż... wkręcił się, siedzi i dobrze mu! Tego nie liczę... Szołdra! Ale... nie gniewajcie się!... ja... chłop jestem... drąg zwyczajny — wygłosił z naciskiem — gdzie mi tam do was! a niech mnie djabli porwą, jeśli tych szwabów nie przetrzymam. Jem z nimi, piję, umizgam się jak muszę... Wiecie? wczoraj pili moje zdrowie! A ja... znacie mię przecież, że lubię prawdę ciąć od ucha, a jednak... palnąłem im mówkę na podziękowanie... jak Boga kocham.

Olszyńskiego, pomimo wszystkiego, zdjął śmiech. Lubił prawdziwie tego „drąga“, jak się sam Słodowski rad przezywał, więc choć w pierwszej po powitaniu chwili podrażniło go nieco zakłopotanie chemika, obecnie na skutek prowadzonej rozmowy, uczuł tem większą sympatję do tej prostej mazurskiej natury, chytrej i nieufnej dla obcych, a wylanej do głębi dla swoich. I z serdecznością uścisnął rękę chemika.

Ten zaś, biorąc uśmiech za objaw niedowierzania, mówił, zaprzysięgając:

— Jak Boga kocham! palnąłem... Co mi to szkodzi... Popłukałem piwem. Wszystko spłynęło do żołądka i dobrze! Co mi to szkodzi? A przyjdzie czas, to pierwszy...

Klepnął się oburącz z tyłu.

Olszyński, który się dotąd jeszcze hamował, roześmiał się teraz na cały głos. Zaraz jednak spoważniał i kładąc rękę na ramieniu towarzysza, spytał:

— Wszystko to dobrze, panie Stanisławie... ale dlaczego mi to mówicie?

Słodowski przymrużył oczy, jakby go światło raziło, parę razy wargami ruszył, a potem jednym tchem, dobitnie, a tak szybko, że słowo zlewało się ze słowem, rzekł:

— Bo chcecie rzucić posadę...

Odetchnął i spojrzał bystro, oko w oko Olszyńskiemu. Ten odstąpił krok w tył, skrzyżował ręce na piersiach, wpatrzył się całą pełnią źrenic w zafrasowaną twarz chemika.

— Nie mam tego zamiaru. Chcę tu zostać — przemówił po chwili. — Chcę zostać z wami — powtórzył z naciskiem.

Słodowski zawisł mu u szyi i już nie mówił, ale raczej wypychał z siebie wyrazy, trzęsąc się i podrygując:

— Naprawdę? naprawdę?! A niechże mię kaczki zdziobią, że myślałem inaczej. Darujcie! Więc naprawdę zostajecie? A ja osieł!... osieł...

Odskakiwał i przyskakiwał, puszczał Olszyńskiego z objęć i brał na nowo, a wołał:

— Cymbał! cymbał jestem! Jak nawet mogłem myśleć inaczej? Cymbał! Darujcie... Więc zostajecie! zostajecie!

Nie potrzebował mówić, „jak to dobrze“, bo całem zachowaniem się dowodził, jak wielką radość sprawiła mu ta wiadomość.

Olszyńskiemu zrobiło się w oczach mokro. Nie mógł jednak w pierwszej chwili przyjść do słowa, i podziękować za objaw prawdziwej życzliwości, więc odwzajemniał się tylko uściskiem; dopiero, kiedy Słodowski wzruszony, zziajany, mówić przestał, zaczął:

— Dziękuję wam serdecznie, panie Stanisławie. Skądże jednak przyszliście do takiego wniosku?

— Bo... bo... widzicie — odpowiedział trochę zmieszany Słodowski — skoro was nie zrobili dyrektorem... Zresztą — dodał śmielej — nie byliście na „szwajnfeście“, więc...

— A może o tem co mówiono? — przerwał Olszyński...

— Głośno nie... ale w duchu tak sądzili wszyscy, a ja z nimi... cymbał! Laubholm plótł nawet, że upatrzono już następcę na wasze miejsce...

Olszyński ściągnął brew.

— To się grubo zawiodą...

Słodowski zatarł ręce.

— Minie ich *jubel*, minie!

— Mam kontrakt — napomknął Olszyński.

— Właśnie... właśnie...

Rozmawiali tak, idąc zwolna. Zegar fabryczny wydzwonił dziesiątą.

— Muszę was pożegnać. Wybieram się do miasta... Chciałbym być na nabożeństwie — odezwał się Słodowski, kiedy się znaleźli w pobliżu bramy.

Olszyński podał mu rękę.

— Do widzenia!

— Do widzenia! — odpowiedział chemik, nie puszczając podanej ręki. Zrobił ruch, jakby chciał już odejść i zatrzymał się.

— Jeszcze słówko — rzekł tonem prośby.

— Służę wam. O cóż idzie?...

— A to chciałem was przeprosić — wybuchnął Słodowski — przeprosić... Ja was niedoceniłem... Jak Boga kocham! wstyd mnie teraz... Zdawało mi się: — przejadło mu się ze szwabami, plunie na wszystko i pójdzie! Zwyczajnie szlachcic! zrazu choćby w ogień... ale — jak nie idzie... to już po krzyku! W dodatku myślałem sobie, że waszym paniom, pannie Walentynie — wycedził nieśmiało — przykrzyć się musi w tej dziurze...

— Gdzież-tam! — podchwycił żywo Olszyński.— Przeciwnie! Wczoraj rozmawialiśmy właśnie na ten temat... Ot tak! zgadało się coś... I matka i Wala, a zwłaszcza Wala, tak się przyzwyczaiły do tej „dziury“, jak mówicie, że w razie czego... byłoby im żal

niewymownie. Popłakały się na samą myśl... Wala nawet...

Nie zdołał skończyć, bo już Słodowski siedział mu u ramion i dusił poprostu w objęciach. Napadł go świeży paroksyzm radości. Poczerwieniał jak burak, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zaczęły chlipać, z ust wybiegało raz po raz:

— Jak Boga kocham! Jak Boga kocham! Poczciwości!... Zacności!... Stopy całować! Jak Boga kocham!

W rozmachanych tych słowach brzmiała jakaś dziwna nuta: wesela i pokory zarazem.

Umitygował się wreszcie i, jakby zawstydzony tak obcesowym wybuchem, jął zniżonym głosem bąkać:

— Ot! chłop... Ot! chłop... Wbijcie mię na rożen, inaczej nie umiem... Prostak... Jak się z czego cieszę... tobym tańczył! śpiewał... choćby na środku rynku... Klaskał jak dzieciak do świecidła! Nie wypada... wiem... ale gadaj tam chłopu! jak mu tu wzbierze...

Uderzył się w pierś z całej siły i odwróciwszy raptem, nie żegnając już Olszyńskiego, począł iść szybko, jakby od czegoś uciekał.

Olszyński stał chwilę zadziwiony, patrząc za odchodzącym. Widział: Słodowski czapkę na głowie miętosił, rękoma po twarzy przesuwał i biegł prawie, gestykulując zawzięcie.

Zdawało się Olszyńskiemu, że słyszy z oddali wylatujące z ust chemika: „chłop! chłop! gdzie mnie się równać z nimi, chłop! chłop!“

I pomyślał ze wzruszeniem, wchodząc w obręb zabudowań fabrycznych, że, jednakowoż ten chłop, to szczere złoto!

Na wstępie spotkał idącego do warsztatu „maszyn majstra“. Knotza. Maszynista, bądź co bądź podległy wicedyrektorowi, witał Olszyńskiego zawsze nader uniżenie. Dziś, zobaczywszy Jana, uchylił zaledwie

skórzanej czapki i rzuciwszy przeciągłe: *Moorgen* — poszedł obojętnie w swoją stronę.

Olszyński zawahał się chwilę, czy ma iść dalej. Przewidywał, że i w innych oficjalistach znajdzie tę raptowną zmianę usposobienia, a choć dla podobnych objawów mógł mieć tylko pogardę, było mu przykro.

Jakoż okoliwszy boczne skrzydło fabryki, zajrzał tylko do kotłowni i przyjrzawszy się czyszczeniu palenisk, zawrócił z zamiarem udania się do domu, gdy nagle usłyszał za sobą głos młodego Kurzbacha:

— Dzień dobry, panie Olszyński!

Obejrzał się. Przed nim stał młody dyrektor z wyciągniętą dłonią, wesół, z twarzą rozpromienioną. Olszyńskiemu wydało się w pierwszej chwili, że Horst Kurzbach uśmiecha się ironicznie pod wąsem. Ale było to wrażenie przelotne, baczniejszy rzut oka przekonał Olszyńskiego, że się mylił.

Młody Kurzbach był tylko niewyspany po nocnej hulance. Na pełnej twarzy, pod oczyma miał obrzęk, źrenice krwisto pożyłkowane, co całej fizjognomji nadawało odmienny wyraz.

Wymieniono powitanie.

— Nie był pan na nas łaskaw — zaczął uprzedzająco młody Kurzbach, podsuwając rękę pod ramię Olszyńskiego — ale się temu nie dziwię. Ja sam, gdybym mógł, byłbym się od tego wywinął. Ale dla ojca musiałem. Mój stary zawsze podejmuje oficjalistów... ilekroć przyjedzie do fabryki. Dla niego może to zabawne, lecz dla nas, którzy z tymi panami obcujemy ciągle, słowo honoru, niewesołe towarzystwo!

Mówił po polsku dość poprawnie, niekiedy zaledwie zacinając się.

— Ja poprostu przyjść nie mogłem, mając do skończenia wykaz tygodniowy „soków" i „cukrzycy" — odrzekł Olszyński. Obowiązek przedewszystkiem, przytem...

— Przyznaj pan, nie nęciło pana towarzystwo...

— Mniejsza o to! Siostra mi zasłabła...

— Panna Walentyna! Cóż się stało? Wczoraj z rana miałem przyjemność spotkać się w oranżerji... Cóż takiego? — podchwycił żywo Kurzbach. — Posyłaliście państwo po doktora? — spytał z widocznym niepokojem, który Olszyńskiego zastanowił.

Spojrzał zdziwiony, niejako wzrokiem pytając: zkądże ta troskliwość?

Wobec więcej niż oziębłych stosunków z Kurzbachami, osądził — po namyśle, że to najzwyklejsza komedja obłudy, maskująca w rzeczywistości wręcz odmienne uczucia.

Odrzekł tedy sucho:

— Nie posyłaliśmy, nie było potrzeby. Chwilowa słabość przeszła zaraz. Że jednak matka zastraszyła się nieco, więc nie chciałem kobiet zostawiać samych.

Przypomniał sobie zalecenie matki i doradczą politykę Słodowskiego, więc dokończył:

— I z tej przyczyny głównie nie skorzystałem z uprzejmego zaproszenia panów.

Wymówka wydała mu się nader trafną, kontent też, że mu ją sama rozmowa nasunęła, jął wzajemnie wypytywać młodego Kurzbacha o zdrowie ojca, czy się nie czuje znużonym po odbytej podróży, o szczegóły zaprojektowanych nowych urządzeń w fabryce i rad był z siebie, iż się na krew zimną zdobył, nie dawszy poznać, że mu w duszy kotłuje.

Ale teraz rozmowa się nie kleiła. Dyrektor odpowiadał z roztargnieniem, urywkowo, zbywając Olszyńskiego lakonicznemi zdaniami.

— Prześwidrowałem go na wylot. Odgadłem i pomieszałem szyki. Miał rację Słodowski, z nimi tak trzeba — pomyślał Olszyński, lecz że i jemu samemu sztuczny spokój ciążył, nie przewlekając rozmowy, pożegnał niebawem Kurzbacha, który ciągle jednakowo zamyślony, bąknąwszy kilka słów przy rozstaniu, poszedł prosto do kantoru fabryki, skąd przez

otwarte okna dolatywał piskliwy głos buchaltera, rozprawiającego z Giżyckim.

Ten, ujrzawszy idącego ku bramie Olszyńskiego, wychylił się przez okno, wołając:

— Moje uszanowanie! moje uszanowanie!

Olszyński, nie zatrzymując się, uchylił kapelusza.

— Panie Janie! Panie Janie! — wołał Giżycki. — Prosimy tu do nas. Mam maleńki interesik... Byłem nawet u mamy dobrodziejki. Chciałbym o tem samem z szanownym panem pomówić.

— To niech pan pofatyguje się do mnie. Będę w domu do jakiej trzeciej... teraz nie mam czasu — rzucił Olszyński odniechcenia.

Po chwili znikł za bramą.

Przed domem spotkał przechadzającą się matkę. Staruszka miała twarz uśmiechniętą, wesołą. Ujrzawszy syna, wyciągnęła ręce i nim zdążył podejść przemówiła:

— Janeczku! powiem ci nowinę...

— Słucham mamy:

— Zgadnij, kto był tu przed chwilą? Giżycki!

— Wiem. Mówił mi o tem.

— Więc już z nim rozmawiałeś?

— Wymieniliśmy zaledwie słów kilka z oddalenia. Czegoż chciał?

Olszyńska ująwszy głowę Jana, pocałowała go w czoło.

— Mój Janie! to nie taki zły człowiek... Jak cię kocham, moje dziecko! — zaczęła. — Życzliwszy niż sądziłam...

Jan uśmiechnął się kwaśno, lecz nie przerywał matce. Ta zaś mówiła w dalszym ciągu:

— Żałuję bardzo, że cię nie było. Rozporządziłam się sama, a nie wiem, czy będziesz zadowolony...

Zawahała się.

— Bo widzisz — zaczęła znowu —- trzeba brać ludzi jakimi są, nie szukając nadzwyczajności. Giżycki ma wady, ale w gruncie rzeczy niezły, jak się okazuje — człowiek. Nie będziesz się gniewał? — spytała, ponawiając uścisk.

— Ależ mateczko! — odrzekł tonem protestu, całując rękę staruszki. — Skoro mama coś postanowiła, o niezgodzeniu się mowy być nie może! Ciekawym jednak!...

— Widzisz, Giżycki przyszedł z propozycją, którą w twojem imieniu przyjęłam — wyrzuciła staruszka pośpiesznie. — Powstał projekt...

— Jaki?

— Uczczenia dwudziesto - pięcioletniej administracji pana Kurzbacha, jubileuszem. Ma być bal... zabawa... Podpisali się wszyscy, więc i ja...

Na twarz Jana uderzyła fala krwi.

Ogarnęło go uczucie niesmaku i przygnębiającego przymusu. W piersiach załomotały z gwałtownością ból i wstyd. Odwrócił się nagle, aby matka nie dojrzała toczącej się w nim walki i motając nerwowo wąsa, począł szybkim krokiem okrążać gazon. Raz jeszcze przeleciało mu przez głowę wszystko co sobie o stosunku do Kurzbacha tylokrotnie opowiedział, przypomniały mu się słowa Słodowskiego, zaczął ważyć własne „ja" z różnorodnemi obowiązkami, które nań życie nałożyło i w końcu tych wszystkich rozmyślań, nie znalazł innego punktu wyjścia, jak zagrać komedję, równą tej, jaką z nim grano.

Rzekł też przemógłszy się po chwili:

— Dobrze mateczko! dobrze.

Olszyńska, spoglądająca na syna z trwogą i niepokojem, rzuciła się teraz ku niemu i radosnym szeptem jęła w dalszym ciągu przedstawiać konieczność takiego środka, rozsnuwając nadzieję na przyszłość i dziękując Janowi za ustępstwo, które dla jej spokoju uczynił. Tkliwość macierzyńska podsuwała jej argument za argument, a każdy dość silny i dość stanowczy, aby do serca Jana trafił.

Stopniowo odzyskiwał dobry humor, i aczkolwiek nie mógł wyrugować z duszy uczucia, że popełnia oszustwo względem samego siebie, był jednak o tyle zadowolony z powziętego postanowienia, że gdy staruszka poczęła mówić o poświęceniu, jakie dla rodziny robi i wdzięczności, przerwał jej wesoło:

— Mateczko! nie przesadzajmy. Co za poświęcenie! Źle mi tu nie jest, i nie będzie! A że sztuką Niemców tłuką... kto wie, czy ten figiel nie wyjdzie mi na dobre. Nie mówmy o poświęceniu... ja jestem taki egoista, że dla samego siebie chciałbym tu na zawsze zostać. Dla samego siebie — powtórzył i uśmiechnął się.

Przy tych słowach podszedłszy do okien panieńskiego pokoju Wali, począł wołać:

— Walu! Walu! Proszę pamiętać, że za trzy godziny jedziemy do Brzostowa.

Wołanie to było niejako dopełnieniem końcowej z matką rozmowy.

Pojęła to Olszyńska. Podniosła rękę w górę, zakreśliła w powietrzu znak krzyża, niejako błogosławiąc zamiarom syna.

V.

Jakoż zaraz po obiedzie wybrała się rodzina Olszyńskich do Brzostowa.

W drodze spotkano wracającego z kościoła Słodowskiego. Szedł groblą usypaną, wzdłuż płynącej nieopodal plantu szosowego rzeki, poświstując przez zęby smętnego kujawiaka. Poznawszy jadących ukłonił się, ale przyśpieszył kroku.

Jan zatrzymał pojazd, jął nawoływać.

— A gdybyśmy tak chemika zabrali z sobą? — odezwał się do matki. — Będzie nam weselej. Pan Bruzdowicz bardzo lubi Stanisława...

I nie zwlekając, zaproponował zbliżającemu się na wołanie chemikowi współudział w przejażdżce. Ten zawahał się w pierwszej chwili, spłonął jak panienka, wymawiając się to brakiem czasu, to pokazując demonstracyjnie na wcale zresztą przyzwoity kostjum marynarkowy, lecz gdy i pani Olszyńska i Wala dołączyły ze swej strony zachętę, jednym susem znalazł się na stopniach pojazdu, ze zwykłą rubasznością wyrzucając z piersi całą litanję wykrzykników, w których nawet „djabłów", liczonych na miljony kóp, nie brakło.

— A niechże mię miljon set porwie! — pokrzykiwał sadowiąc się obok Jana na przedniem siedzeniu — jeżelim przypuszczał idąc tędy, że mię taka miła niespodzianka spotka! Kanonik zatrzymał mnie na obiad, miał być preferek, ale aptekarz nie dopisał... Wracało się tędy do domu robić w samotności po wczorajszej „*germanji*" rachunek sumienia. Państwa nie spodziewałem się już zastać...

— Słyszałeś pan o jubileuszu? — przerwał Jan.

— Nowy pomysł Gżyckiego — burknął chemik.

— Raczej samych Kurzbachów — zauważył Olszyński.

— I to być może. Ale na to niema rady. Jakże się tu wyłączyć od tak sympatycznej owacji. Machnąłem na ten cel pięć rubli.

— Jaś także — wtrąciła z cicha Olszyńska.

— Więc i u was byli? — spytał żywo chemik, spoglądając zdziwionym wzrokiem na Jana.

Ten odpowiedział:

— Gżycki zachodził do mamy. Nie wypadało odmówić.

Trącił nieznacznie Słodowskiego. W oczach chemika mignął chytry uśmiech. Domyślił się, że to pani Olszyńska bez porozumienia się z synem, zgodzić się na przyjęcie udziału musiała, więc zmieniając

uszczypliwy ton, jął zacierając ręce, potakiwać, niejako cieszyć się z tej nowej okazji do zabawy.

— Bo to będzie *fest* nielada. Mają zaprosić całe okoliczne obywatelstwo. Bal! tańce! *et caetera, et caetera!*

Słuchająca dotąd w milczeniu Wala, klasnęła w dłonie. Z ust dziewczęcia wybiegło radosne:

— Ach! jak to dobrze! jak to dobrze!

Słodowski objął ją oczyma, ale natychmiast wzrok spuścił, poczerwieniał jeszcze bardziej, i jakby mu słów do dalszej rozmowy brakło, zaczął coś niewyraźnie bąkać pod nosem. Zakłopotał się tak dalece, że według zwyczaju, zdjął czapkę i począł trzeć szczecinowatą blond czuprynę.

Panna Olszyńska szczebiotała dalej:

— Żeby tylko muzykę sprowadzili dobrą. Tak dawno nie tańczyłam... Od imienin mamy! Muszę zaraz dziś z Wandzią pomówić o toalecie. A kiedy to ma być, Jasiu? Panie Stanisławie — zwróciła się do chemika. — Zapraszam pana do... do...

— Do pierwszego walca — zaśmiał się Jan.

— Nie tańczę — bąknął pośpiesznie Słodowski.

— A kto widział, damom odmawiać — żartowała Olszyńska.

— Kiedy nie tańczę. Nie umiem walca — tłumaczył się, składając ręce Słodowski.

Wala zaczęła się śmiać pełnym, dźwięcznym głosem.

— Jakto? Pan nie umie? Czy to być może? To tak łatwo!

Nadeszła chwila milczenia. Twarz chemika sposępniała, wreszcie zamyślił się i począł mówić:

— Wszystkiego się uczyć potrzeba, a ja na to czasu nie miałem. W chacie ojca, poczciwego kolonisty, rzadko kiedy postała muzyka. Wszystkiego raz, czy dwa razy pamiętam. Później poszedłem w świat... Musiałem na utrzymanie w szkołach dorabiać lekcja-

mi... Nie było czasu... A i to potrzebne — dodał smutnie.

Olszyński odczuł, że żartobliwą propozycją wyrządzono Słodowskiemu mimowolnie przykrość, więc zagadnął o czemś innem, jednocześnie dając ukradkiem poznać Wali, aby zaprzestała dalszych nagabywań.

Ale ogarnięte wesołością dziewczę nie zwróciło na to uwagi, i jakby na złość, wpatrując się figlarnie przymrużonemi oczyma w chemika, rzekło:

— Szkoda. Zanim się pan Stanisław zdoła nauczyć, kto wie, co się stanie... A ja naprawdę chciałabym z panem potańczyć.

Skłonił głowę.

— Choćby mię wszyscy wyśmiać mieli, będę tańczył, skoro pani każe — odrzekł z determinacją.

— Mazura w pierwszą parę — dorzuciła.

— Mazura w pierwszą parę — powtórzył. — I wszystko, co pani rozkaże.

— Oj dzieci! dzieci! — wtrąciła na to Olszyńska, Jan zaś wzruszył niecierpliwie ramionami i rzekł kwaśno:

— Jest nad czem debatować.

Obrzucił Walę karcącem wejrzeniem. Zamilkła, teraz dopiero zrozumiawszy, że wszczęty temat nie przypadał Janowi do gustu.

Jakiś czas jechano w milczeniu, bo nikt nie podtrzymywał rozmowy.

Zaczynały się właśnie należące do Brzostowa pola. Świeżo podorane na jesieni łany połyskiwały skibami glinkowatej białyczy. W polu było pusto, tylko na przydrożnych lipach szeleściał zawiędły liść, a nad smugiem pożółkłych łąk falowały muśliny mgieł, unoszone wiatrem ku górze. Wokół rozchodziła się charakterystyczna woń nasiąkłej wilgocią roli, szary refleks ziemi biegł drgającym w przestworzu cieniem,

pokrywając skąpo rzucane nikłe promienie opowitego tumanem oparów słońca.

— Ciekawa rzecz, czy pan Bruzdowicz weźmie udział w jubileuszu? — zwrócił się nagle do Olszyńskiego, milczący dotychczas z niepocieszonym wyrazem twarzy chemik.

Pytanie to wyrwało Olszyńskiego z zadumy, nieprędko jednak zdobył się na odpowiedź, brzmiącą zresztą wymijająco: „nie wiem“. Słodowski zaś, któremu widocznie jakaś nowa myśl zaświtała w głowie, mówił w dalszym ciągu:

— Mnie się zdaje, panie Janie, że ten bal, ten jubileusz, to tylko pretekst wymyślony przez Kurzbachów dla naprawienia stosunków z plantatorami. I dlatego sądzę, że im na panu Bruzdowiczu najwięcej zależeć będzie. Ale to twardy orzech do zgryzienia. Prawda?

Olszyński skinieniem głowy potaknął i westchnął nie zdając sobie sprawy dlaczego. Co zauważywszy, pani Olszyńska rzekła:

— Mam nadzieję, że stosunki ułożą się tak, iż pan Bruzdowicz nie odmówi. Gżycki napomknął coś o tem, że pan Horst osobiście wybierze się do Brzostowa...

Wala zatrzepotała się na siedzeniu.

— Ach! jak to dobrze! — odezwała się, przerywając matce. — Wandzia tak dawno pragnie poznać pana Horsta!

Jan zmarszczył brew. Naiwny wykrzyknik siostry wzburzył go wielce. Nie był w możności ukryć tego. Jakoż przemówił z niechęcią:

— Moglibyśmy też o czem innem rozmawiać. Panów Kurzbachów mamy do syta w fabryce.

Ale na „coś innego“ nie było czasu, bo pojazd minąwszy szereg chat włościańskich, skręcał właśnie wysadzoną strzyżonemi świerkami aleją, ku zabudowaniom dworskim.

Panie poprawiły tualet, Słodowski zapiął szczelnie marynarkę, a Olszyński zwrócony twarzą ku bielejącym wśród kęp drzew, ścianom brzostowskiego dworku, zdawał się oczyma wciskać do wnętrza.

Z dworku ujrzano nadjeżdżający pojazd. Skrzypnęły zawiasy lufcika. Wychyliła się najpierw główka dziewczęcia, potem skrzypnęły drzwi, jedne, drugie i na ganek wybiegła panna Wanda Bruzdowicz, a z nią nieodstępna ciocia Femcia, daleka kuzynka Bruzdowiczów. Po chwili wyszedł sam Bruzdowicz, szczupły, zasuszony mężczyzna, z orlim nosem, długą siwiejącą brodą. Poznawszy gości, rozkrzyżował ręce, podbiegł szybko do zatrzymującego się pojazdu, z pełną uszanowania szarmanterją wysadził panią Olszyńską, Walę w przelocie musnął w czoło, uścisnął Słodowskiego serdecznie, a Jana z iście ojcowskiem wylaniem do piersi przygarnął.

Posypały się zapytania i odpowiedzi, wśród których górowały głosy kobiece, zwłaszcza cioci Femci, która stęskniwszy się za Olszyńską, nikomu prawie dojść do słowa nie dała.

Po chwili towarzystwo rozdzieliło się. Pani Eufemja zaciągnęła obydwie Olszyńskie do swego pokoju. Jan z Słodowskim dotrzymywali placu gospodarzowi, który już przedtem zdążył im szepnąć na ucho, że chciałby z nimi na osobności pomówić.

Jakoż gdy zostali sami, bo panna Wanda zaraz po powitaniu znikła zakrzątnąć się około podwieczorku, usadowił przybyłych, poczęstował cygarami i zwracając się do Olszyńskiego, rzekł:

— Coś mi pan Jan nietęgo wygląda. Wiem... wiem... spotkał cię zawód... Ale zostajesz nadal w fabryce?

— Zostaję.

— To i dobrze. W pierwszej chwili, jak mi o nominacji młodego Kurzbacha powiedziano, nie chciałem wierzyć, żeby hrabia, ostatecznie porządny czło-

wiek — mógł na coś podobnego przystać. Rozmawiałem z nim w zeszłym roku w tej materji i zwierzył mi się, że chciałby jak najprędzej wyzbyć się Niemców.

— Jednak nowych jeszcze sprowadza — wtrącił Słodowski pogardliwie.

— Nasi wielcy panowie dziwnie do rodaków uprzedzeni — dodał Olszyński.

— Należy ich zatem przekonywać, że są w błędzie — odrzekł na to pytanie gospodarz. — Właśnie o tem chciałem z panami pomówić. Posłuchajcie!

Powstał, przeszedł się po pokoju kroków kilka, poczem odciągnąwszy Olszyńskiego na bok, spytał przyciszonym głosem:

— Czy na Słodowskim polegać można? Sądzę, że to człowiek prawy i nie potrzebuję się jego obecnością krępować?

Olszyński potaknął gorąco:

— Rzadkiej prawości i hartu.

— Nie jest to żaden sekret, ale wolałbym, aby się przed czasem nie rozgłosiło. Ja i kilku jeszcze sąsiadów zamierzamy zaprzestać plantowania buraków. Przedtem jednakże chcemy spróbawać jeszcze układów z fabryką, lub z głównym zarządem dóbr hrabiego. Zażądamy podwyżki lub udziału w zyskach.

— Na to się nigdy nie zgodzą — przerwał Słodowski.

— To nie będziemy sadzili.

— Czy jednak wobec niskich cen zboża, taka zmiana w systemie gospodarczym da się bez znacznych strat przeprowadzić? — zauważył Jan.

— Zapewne, że bez strat się nie obejdzie, bo każdy początek trudny, ale rachunkiem mogę panów przekonać, że buraki po obecnej sprzedawane cenie, zupełnie się nie opłacają. Chyba przy wyjątkowym urodzaju...

I począł liczyć, przytaczając porównawcze da-

ne różnych płodów, grupując biegle cyfry, które w zupełności wyrażony pogląd potwierdzały.

— Zastanawiałem się nad tą sprawą od lat kilku — rzekł w końcu — i ostatecznie przyszedłem do przekonania, że cukrownie wbrew powszechnemu pojęciu, nie tylko nie posiłkują rolnictwa, lecz przeciwnie wycieńczają je stopniowo, rozumie się w stosunkach obecnych. Cała zaś wychwalana zdolność przemysłowa kierowników ogranicza się do wyzyskania trudnego położenia rolnika, który raz wszedłszy w jarzmo, wydobyć się zeń nie może.

— Przyzna jednak pan dobrodziej! — wtrącił Słodowski — że wina wytworzenia się takiego stanu rzeczy, w lwiej części, obarcza miejscową inteligencję. Kapitały spoczywają nieruchomie w kasach, inicjatywy niema, a jeżeli się jakie przedsiębiorstwo na uczciwych oparte zasadach zawiąże o własnych siłach, upada z braku poparcia. Dopiero gdy jaki przybysz stanie na czele, budzi się zaufanie, pieniądz płynie, a ślepa wiara w cudze rozumy każe nam zamykać oczy na to, co z wyłączeniem szczęśliwych jednostek, właśnie ogółowi szkodę przynosi.

W miarę jak mówił, pozbywał się nieśmiałości. Siwe oczy nabrały stalowego połysku, pokraśniał i zapalając się coraz bardziej, kończył:

— Mamy niby handel! co z tego? Żywi i bogaci tysiące pasorzytów! Zachciało nam się przemysłu... Sprowadziliśmy sobie Niemców! Taki on tam i nasz! Zjadamy z łaski rzucone ochłapy, gotowi dziękować, że nam się choć tyle dostało. Jak się obcy przywlecze — genjusz! swój — fiut!

Dmuchnął w dłoń, spoglądając na Olszyńskiego. Ten zaś, dorozumiewając się do czego zmierza, zaczął żartobliwie, zwracając się do gospodarza:

— Chemik udaje pesymistę, a w rzeczywistości jest głębokiego przekonania, że społeczeństwo nasze budzi się już z uśpienia i przy wytrwałości...

— I jedności — dorzucił Bruzdowicz.

Słodowski, nie czekając końca, przerwał:

— A jużci! Tylko, że o tę jedność najtrudniej. W pojedynkę to się jeszcze niejeden jako tako boryka, ale gdy co przechodzi siły jednego, gdy zjednoczyć się trzeba...

Wzruszył ramionami.

— Trudno temu przeczyć — odezwał się na to gospodarz — ale dobry przykład jednostek ma znaczenie, pociąga, zachęca. Wy, naprzykład obaj, rzuciliście się, bodaj najpierwsi, na pole przemysłu cukrowniczego. Za wami pójdą inni i za lat parę najprostszą konkurencją pracy, wyrugujecie obcy żywioł.

— O ile go tacy Kurzbachowie jeszcze więcej nie naprowadzą do kraju — napomknął znowu Słodowski.

— Przekora z pana — burknął Bruzdowicz z udanym gniewem — kto to widział tak wątpić we własne siły!

— Ja nie wątpię, ale też nie przewiduję, aby wszystko poszło tak gładko, jak pan dobrodziej utrzymuje. Żeby to wszyscy byli tacy jak Olszyński...

Jan jął zagadywać:

— No! no! tylko się w komplimenty nie baw, panie Stanisławie! Nie dalej jak rano, dałeś mi pożądną burę.

Opowiedział spotkanie ranne ze Słodowskim.

Słodowski podczas opowiadania Olszyńskiego kręcił się niespokojnie, niekiedy ruchem ręki lub potrząsaniem głowy przecząc. Swoją drogą rad był wielce, kiedy słuchający z uwagą Bruzdowicz z nieudanem zdziwieniem wygłosił:

— Nie spodziewałem się, że z pana taki *polityk!* Chwat chłopak! jak mi Bóg miły! Chwat!

Zachęcony pochwałą chemik dorzucił kilka trafnych uwag i spostrzeżeń, a gdy rozmowa z teoretycznych ogólników przeszła na grunt praktyczny,

a gospodarz napomknął o projekcie założenia spółkowej ziemiańskiej cukrowni, rzekł z powątpiewaniem:

— Bodaj się jak najprędzej w czyn zamieniły zamiary pana dobrodzieja! ale to rzecz niełatwa. U nas wszelkie stowarzyszenia tak szybko rozpadają się i walą, że trzeba nadzwyczaj szczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby się takie przedsięwzięcie pomyślnie udało, zwłaszcza, że z umysłu stawianych przeciwności nie zbraknie. Ci pod bokiem — ukazał ręką w stronę fabryki — a i bez tego... Któż z obywateli do takiej spółki przystąpi!?

Bruzdowicz wymienił kilka nazwisk. Słodowski zamyślił się.

— Nie wytrzymają długo — rzekł po chwili. — Przykro to wyznać, ale pod względem solidarnego działania w wspólnym interesie daleko nam jeszcze do Niemców. Gdy jeden Niemiec ma w swej naturze nacięte karby, drugi z pewnością posiada odpowiednie im rowki, obaj doskonale do siebie przystają i działają jak dopasowane tryby. My, przeciwnie, karb uderza o karb, dopóki się nie wyłamią i cała maszyna wyszczerbioną nie zostanie.

Bruzdowicz, chociaż przyznawał w duchu poglądom Słodowskiego wiele racji, wtrącił:

— Nie rozbijajże mi pan ducha!

I zmierzył bystro z niejakim podziwem niepozorną postać chemika. Ten zaś, nie zbity z tropu, odparł:

— Panie dobrodzieju! Ja ducha nie rozbijam... Poszedłbym choćby za palacza do waszej fabryki, Bóg świadkiem! lecz jeśli mam być szczerym, to z bólem serca wyznam, że w pomyślne wykonanie planów pana dobrodzieja, na teraz przynajmniej, nie wierzę.

— Bo też to odległe plany! Obecnie poprzestanę na wywalczeniu lepszych cen za buraki i mam prawie pewność, że mi się to uda. Niżej rubla plantować nie będziemy, to już postanowione.

Podszedł do biurka, wydobył arkusz zapisanego papieru, rozwinął.

— Czytajcie — rzekł.

Była to formalna deklaracja kilku obywateli, sąsiadów Brzostowa, rodzaj *ultimatum* wystosowanego do zarządu cukrowni, z żądaniem podwyżki.

Olszyński rzucił okiem na podany papier, Słodowski zaś wspiąwszy się na palce, pochylony przez ramię Jana, czytał półgłosem, komentując:

— Pan Wązłowski no... może... Skuraczewski... dobry, Falkiewicz... niepewny... pan Jazwiński... wytrzyma... Chybicki... Czokułł... Wyręba...

Zaczął się śmiać.

— Pierwsi po zaliczkę przyjadą — wykrzyknął.

— Kto wie — zaprzeczył gospodarz z oznaką niezadowolenia i zwracając się do Olszyńskiego, spytał:

— A ty, jak sądzisz, panie Janie?

Olszyński po chwilowem wahaniu odrzekł:

— Sądzę, że kolega Słodowski ma rację. Pan Czokułł za bardzo potrzebuje pieniędzy, aby się bez fabrycznej zaliczki mógł obejść, pan Chybicki jeszcze z roku zeszłego pozostał dłużnym pokaźną sumę, pan Wyręba również nadebrał...

Bruzdowicz sposępniał. Pociągnął przygasające cygaro, machnął ręką.

— Nie będę się z wami spierał — odezwał się wreszcie tonem chłodnego przekonania. W każdym razie za siebie, za Skuraczewskiego i kilku jeszcze innych ręczę! Sprobujemy.

Co rzekłszy, powstał i, mruknąwszy kilkakrotnie: „zobaczymy! zobaczymy“, podszedł do okna i jął na szybach wybębniać palcami jakiegoś marsza, co zwykle w podnieceniu czynił.

Spostrzegł to Olszyński, więc mrugnąwszy znacząco na Słodowskiego, począł łagodzić, zbijać poprzednio wyrażone wywody. Napomknął nawet, że Kurzbachowie, pragnąc się teraz utrwalić na stanowisku, pohopniejsi bodaj okażą się do wszelkich ustępstw, zwłaszcza, że bądź co bądź interesy cukrowni nie poniosą na tem zbyt wielkiego uszczerbku.

Ale Słodowski, który się był na dobre rozgadał, nie dał mu skończyć, i nie zważając na ostrzegające gesta Olszyńskiego, palnął znowu:

— Ta! ta! ta! Zaraz! Zawracanie głowy! Żeby mogli, toby obcięli jeszcze! Cóż to ich nie znam, czy co? A o zjednanie sobie opinji to im akurat tyle idzie, co mnie o śnieg zeszłoroczny. Zamiast podwyżki, wyprawią bal... jubileusz... szlachta się zjedzie...

— Jaki bal? jaki jubileusz?—spytał Bruzdowicz, odwracając się od okna i wlepiając wzrok w chemika.

— A to pan dobrodziej nic nie wie?

— Nic a nic. Mówcież.

Olszyński zaczął opowiadać. W miarę jak mówił, oczy Bruzdowicza nabierały coraz więcej osłupiającego wyrazu, twarz mu drgała, usiedzieć na miejscu nie mógł. Zrywał się, przysiadał, wreszcie spuścił głowę na piersi i dwie łzy spłynęły po policzkach, tonąc w rozwichrzonym zaroście.

Otarł pośpiesznie oczy i nie hamując się więcej, wybuchnął:

— Co te szelmy sobie myślą! Za kogo oni nas mają! Tego jeszcze brakowało! Jubileusz czyj? za co?

Zawrzała w nim krew szlachecka, wyprostował się, tupnął z całej siły, splunął.

— Daj pokój! — krzyknął chwytając Olszyńskiego za ręce — przestań! Uszy puchną... Miałbym za hetkę pętelkę tego, czyja noga tam postanie! Ale nie! nie! nie upadliśmy jeszcze tak nisko... Krzta godności wystarczy... Zobaczycie! nikt nie pojedzie... nikt. Pan może myślisz inaczej — zwrócił się do Słodowskiego z wymówką — ale ja panu powiadam, że... nikt! Kurendę po okolicy roześlę, na kości ojców zaklnę, a na takie poniżanie się nie pozwolę! Balu potrzeba! balu? Dobrze. Będzie bal! W ten sam dzień, o tej-

że godzinie, ja... pod tą strzechą w kielichy uderzę! cały powiat sproszę! a tym...

Zachłysnął się i, jakby zawstydzony własną gwałtownością, przycichł nagle i już miększym głosem szepnął:

— Zirytowała mię ta wiadomość. Darujcie! uniosłem się nieco... ale, że do tego nie dopuszczę, to nie dopuszczę...

W tej chwili rozległ się w pobliżu donośny śmiech i na progu ukazała się Wanda, a za nią chichocząca do rozpuku panna Olszyńska.

Obie przypadły do gospodarza z pełną buzią wykrzykników.

— A to ładnie! grzecznie!

— My tam siedziemy same!

— Tatko nam obu panów zabrał!

— Kto widział!

Pan Bruzdowicz, zasypany gradem wykrzykników, porwał się szybko z miejsca i zatykając sobie oburącz uszy, jął uciekać w najciemniejszy kąt pokoju. Uczynił to właściwie dla ukrycia wielkiego pomieszania, które całą mocą zwalczyć pragnął.

Zostawieni na pastwę panieńskiej natarczywości, Jan z Słodowskim stali bez słów, z zakłopotanemi minami, jak dzieci na gorącym uczynku schwytane. Chemik naśladując gospodarza, cofał się przed zagradzającą mu drogę pannę Olszyńską ku ścianie, Jan zaś daremnie tłumiąc wzruszenie, zdołał zaledwie wykrztusić jakiś zdawkowy usprawiedliwiający ogólnik.

Od kilku dni znajdował się w ciągłem naprężeniu duchowem, tysiące sprzecznych pragnień i uczuć wstrząsało jego umysłem, nie miał prawie jednej chwili, wolnej od głuchej walki wewnętrznej, tem cięższej do przetrwania, że toczonej pod maską zewnętrznego spokoju. Nawet w tym Brzostowie, do którego jak do cichej przystani po ukojenie dążył, do którego rwał się najszlachetniejszym porywem serca, za temi progami, co mu pierwszym stopniem do najwyższego szczęścia być miały, które przestępował zawsze z prawdą na ustach, znalazł się teraz, niby wędrowiec na rozstajnych drogach, nie wiedzący w którą mu wypada udać się stronę. Czuł, że ta jedyna, prawa, prosta droga skończyła się niespodzianie na widnokręgu jego życia, że los rozszczepia ją na kilka odnóg stromych, wyboistych, biegnących gdzieś w dal odległą, bardzo odległą.

W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa starego szlachcica, wybuch obrażonej dumy i usprawiedliwionej nienawiści do tych, którym on bądź co bądź podlegał, od których materjalnie był zawisłym, a dla których niemniej miłości w sercu nie miał, tylko, że jej jawnie wykazać nie mógł. I ta niemoc była mu w tej chwili najsroższą, bo graniczyła z przymusem obłudy. Daremnie tłumaczył sobie, że inaczej być nie może, że rozdzielają go środki, nie cel; rozdział istniał, rysował się w umyśle Olszyńskiego wyraźnie, niby wielka przepaść, którą mu upokorzeniem, zaparciem prawdziwych dążeń wypełnić należy, zanim na przeciwległym, upragnionym brzegu stanie.

I czy stanie?

Nie trwożyła go jeszcze tyle różnica majątkowa, istniejąca pomiędzy żyjącym z pracy technikiem a córką zamożnego obywatelskiego domu, ile ten akord fałszywy, który mógł w każdej chwili zamącić harmonję dotychczasowych stosunków. Przewidywał chwilę, w której będzie musiał uczynić stanowczy wybór: albo zamknąć w sobie prawdę i dla kawałka chleba, dla spokoju rodziny, której był opiekunem, zostać obojętnym widzem, lub też rzucić fabrykę i stanąć otwarcie do walki z niemiecką nawałą. Gdyby szło o jego los tylko, uczyniłby to bez namysłu, bez zwłoki, z odkrytą przyłbicą stanąłby w szeregach walczących, ale... Tych „ale“ przesuwało się w umyśle Olszyńskiego chmury całe.

Poza najbliższemi, matką i siostrą, których na ryzyko niepewności narażać nie chciał, przykuwała go do miejsca, do „tych stron“, bliskość innej, drogiej osoby, a tak drogiej, że bez jej widoku, pełnego szczęścia nie wyobrażał sobie. Powstrzymywały go blade, wyssane znojem twarze robotników, a i wstyd przed dezercją z posterunku.

Jakoż w chwilach największego rozstroju, jakiś głos wewnętrzny przeciskał mu się w duszę, szepcąc: tyś pal tamowy, niechże cię egoizm nie wyrywa z łożyska!

Wtedy tłumił w sobie zapędy i tak, jak w dzisiejszej rozmowie ze Słodowskim, powtarzał: zostanę! zostanę!

Ale równocześnie z takiem postanowieniem wkradała się obawa, syk złowieszczych przeczuć, że mu chęci i woli zbraknąć może, gdy postępowanie jego fałszywie ocenią, lub wypadki nasuną przeszkodę, przed którą dusza się wzdrygnie.

I oto teraz wszystkie te szarpiące myśli zakołowały wrzątkiem w jego głowie. W sercu tętniało jeszcze wtórem oburzenie starego szlachcica, a przed oczyma widniała świeża, pogodna, uśmiechnięta twarz dziewczęcia, z którego rozchylonych, jak półrozwity pęk róż, ustek, mogło lada chwila zadźwięczyć:

— A kiedyż ten bal, panie Janie!

Szczęściem, że tuż za pannami pojawiły się obie starsze panie. Umykający niezgrabnie przed atakującą Walą, Słodowski pomknął szybko ku pani Olszyńskiej, a ciocia Femcia wypaliwszy z miejsca reprymandę za „odosobnienie się panów“, poczęła zapraszać na przygotowany już podwieczorek.

Skorzystał z tego gospodarz i podsunąwszy się do Jana, szepnął:

— Tylko przed kobietami ani słowa.

Olszyński zrozumiał i skinął głową, ale równocześnie z niepokojem pomyślał, że matka i siostra mogły już o projekcie obchodu jubileuszowego powiedzieć.

Podszedł jednak do matki i upatrzywszy stosowną chwilę, rzekł z cicha:

— Mateczko, niechże panie o tym balu przy panu Bruzdowiczu nie wspominają. Mam powody...

Na obliczu staruszki odmalowała się troska. Chciała coś odrzec, ale nie było już czasu, bo właśnie zbliżał się sam Bruzdowicz i podając Olszyńskiej ramię, poprowadził do sąsiedniej jadalni. Reszta osób podążyła za nimi.

Idąc zdążył jeszcze Olszyński przestrzec chemika. Ale najbardziej chodziło mu o Walę, która najprędzej mogła się wyrwać z niepotrzebną wieścią i wszcząć drażliwą rozmowę. Więc zasiadłszy pomiędzy panną Bruzdowicz a siostrą, otwierał już usta w celu wypowiedzenia stosownej uwagi, gdy ku wielkiemu zdziwieniu Jana, sam gospodarz zmieniwszy nagle pierwotne postanowienie, przemówił:

— A panna Walentyna wybiera się na ten bal?

Panna Olszyńska zrobiła wielkie oczy, zaczerwieniła się po same uszy. Odczuła instyktownie w pytaniu tem sarkazm. To ją zdetonowało.

Spojrzała lękliwie na matkę. Ta zaś rzekła:

— Proszono nas. W naszem położeniu...

Bruzdowicz potaknął żywo:

— Samo przez się, rozumie się. Państwo nie możecie i niepowinniście odmawiać. To zupełnie co innego. Nawet byłoby źle, gdybyście inaczej postąpili— zwrócił się do Jana, który nie mogąc ukryć zdziwienia, siedział jak odrętwiały, nie wiedząc co począć.

— Moja „polityka“ — wymknęło się Słodowskiemu. — Przeczuwałem, że pan dobrodziej, po namyśle, będzie tegoż samego zdania.

Odezwanie się Słodowskiego przyszło w porę,

a nadewszystko dozwoliło Olszyńskiemu oprzytomnieć i wyzwolić się z pod przygnębiającego wrażenia.

Jakoś spokojnym głosem zaczął:

— Mateczka tak postanowiła. Co do mnie, nie zrobi mi to chyba zbyt wielkiej przyjemności, ale wyłamać się niepodobna. Stosunki między mną a Kurzbachami i tak są dość podrażnione...

— To też nikt ci tego za złe nie weźmie, panie Janie! — nadmienił gospodarz. — Sytuacja wyjątkowa i pana Słodowskiego również. Ale my... obywatelstwo... nie mamy najmniejszej potrzeby liczyć się z panami Kurzbachami. Pomijając już inne przyczyny, nie żyjemy przecie z nimi w stosunkach towarzyskich. Skąd im nawet przyszło do głowy zapraszać?

Nachylił się ku pani Olszyńskiej i dopowiedział coś półgłosem. Poczem rzucił okiem na siedzące w milczeniu panny, na Słodowskiego, który bezustannie mięszał łyżeczką herbatę i uśmiech dobrotliwy przebiegł mu po twarzy. Wreszcie odezwał się żartobliwie:

— Coś mi się panienki skwasiły? hm! A gdyby tak u nas jaką zabawkę urządzić? Cóż wy na to? Femciu! Wandziu!

Pani Eufemja, która w rzeczywistości nie pojmowała dobrze o co tu właściwie chodzi, rzekła:

— Kto ma pannę w domu, sam powinien najlepiej wiedzieć.

„Panna" zaś, pomimo zmieszania, podniósłszy wzrok na ojca, a potem szybko powstawszy, podbiegła i łasząc się jak kotka, ucałowała jego ręce.

Jan odetchnął, rzeczy zaczęły się układać nadspodziewanie dobrze, przewidywane zakłopotanie rozplątywało się samo.

Bruzdowicz po pierwszym impecie, choć od zamiaru zrobienia „szwabom psikusa" nie odstąpił, w miarę dyskusji, stygł widocznie, skoro w końcu z niejakim żalem rzekł:

— Przykro mi tylko, że nie będę mógł mieć państwa u siebie. Ale i na to jest sposób. Zrobimy na drugi *poprawiny*... Wprost z „jubileuszu" do nas...

Zatarł ręce i począł podżartowywać z Wali, że po jubileuszowym *ein, zwei, drei* — jak walca nazywał — sam ją w pierwszą parę mazura poprowadzi.

Było to wstępem do ogólnego ożywienia. Stopniowo wszyscy odzyskali dobry humor. Pani Eufemja, przysiadłszy się do Olszyńskiej i Bruzdowicza, puściła wodze fantazji, już naprzód układając różne plany i kombinacje, projektowanej zabawy dotyczące. Panny mieszały się od czasu do czasu do rozmowy, cichaczem czyniąc sobie różne zwierzenia, niekiedy zwracając się z żartobliwą zaczepką do Jana lub Słodowskiego.

Słodowski był w wyjątkowo świetnem usposobieniu. Nadewszystko pozbył się zwykłej wobec kobiet nieśmiałości i niedość, że zaczepiany odcinał się dowcipnie, ale sam wyciągał panny na słówka. A czynił to tak swobodnie, tak jakoś dobrze, że potrafił rozruszać nawet Jana, który, chociaż starał się dostroić do ogólnego tonu, najmniej z całego towarzystwa był sobą.

Zwykle nadzwyczaj rozmowny i umiejący rozmawiać, teraz ruszał urywanemi zdaniami, zamyślając się chwilami do tego stopnia, że mu niejedno zapytanie parokrotnie ponawiać wypadało.

W porównaniu z anormalną wesołością chemika, on to raczej zdawał się być owym „drągiem", którego brak ogłady towarzyskiej krępuje i onieśmielonym wobec kobiet czyni.

Sam to odczuwał.

Wstano od stołu. Padał już zmrok wieczorny. W salonie zapalono świece. Towarzystwo przeniosło się tam na pogawędkę, tylko Olszyński, jakby unikał światła, pozostał.

Stanął w oknie i na chwilę zapomniawszy gdzie się znajduje, puścił bieg myślom...

Nagle uczuł delikatne dotknięcie kobiecej ręki.

Przy nim stała Wanda. Pochylona naprzód całą kibicią, spoglądała dobremi oczyma, w których pomimo uśmiechu przeświecała tęsknota i zaniepokojenie.

Jego w jednej chwili oblała rzewność, twarz rozjaśniła mu się poczciwą radością, przytrzymywał usuwaną szybko z ramienia rączkę w swej dłoni.

—Chodźmy — szepnęła, rumieniąc się z lekka. A potem spytała cicho:

— Pan ma zmartwienie? Prawda?

Potrząsł głową, chciał przeczyć, ale zamiast tego, wyrwało mu się z piersi westchnienie i rzekł:

— Niekiedy bez poważniejszych przyczyn taki smutek duszę zazuwa, że człowiek chodzi z nim bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy. Dopiero widok innych weselszych twarzy budzi w nas tę świadomość, i wtedy...

— I wtedy?...

— Wtedy do smutku dołącza się pragnienie... współczucia... Czy pani, panno Wando, miewa czasem takie chwile?

— Czemu pan o to pyta? — szepnęła i w mgnieniu oka, usunąwszy zatrzymywaną rękę, pierzchnęła do salonu.

Podążył za nią. Siadła przy fortepianie, uderzyła kilka smętnych akordów. Jan stanął obok. Ukazała mu wzrokiem drugie krzesło. Był posłuszny.

— Gdy mi smutno — gram, szepnęła teraz, przesuwając palcami po klawiaturze.

— W takim razie pozwoli pani sobie towarzyszyć — wyrzekł, podsuwając bliżej krzesło.

Ona nie odrzekła nic, tylko jak rozpieszczone dziecko poczęła mrugać oczyma, na znak, że zezwala.

Instrument zaśpiewał tęskną, serdeczną nutą...

— Ach! będziemy mieli koncert — wykrzyknęła Wala — słuchaj pan! — zwróciła się do Słodowskiego i podskoczyła na palcach ku grającym.

Słodowski uczynił toż samo, stanął obok niej.

Pierwszy raz słyszał grającego Olszyńskiego i był zachwycony. Oczy wytrzeszczył, usta złożył na znak podziwu, jak do gwizdania i z zapartym oddechem słuchał.

Olszyński z Wandą grali na cztery ręce warjacje z Szubertowskiej piosenki.

Płynęły srebrne tony cichej tęsknoty, niewysłowionego upojenia, przeplatane szeptem ujętych w dźwięk westchnień, podniebnych szmerów, czarowanym odgłosem rwącej się na wyżyny duszy ludzkiej. Przelatywała w tych akordach *moll* uskrzydlona w pieśń nadzieja, snuła się zaduma, skrzyła promienna, natchniona miłość!

A było w tej melodji tyle wymownego czaru i słodyczy, że nawet prozaiczna pani Eufemja, przestawszy zabawiać panią Olszyńską rozmową, przechyliła głowę w stronę grających, zaczęła się kołysać na fotelu, wyginać z boku na bok do taktu, wzrokiem wyrażając zachwyt i zasłuchanie. Gospodarz słuchał również w skupieniu, zaś pani Olszyńska, sama bardzo muzykalna, zdawała się uprzedzać myślą każdą frazę, odgadywać tony, nim jeszcze z instrumentu wybiegły. Twarz staruszki drgała, prężyła się, usta rozchylały się błogo, łowiąc dźwięk za dźwiękiem.

Wreszcie pojedyńcze minorowe tony zaczęły stopniowo słabnąć, przechodzić w zaledwie dosłyszalne kwilenie, odłączać się i ginąć. Pieśń zamierała, ostatniem echem utonąwszy w ciszy...

Przez chwilę nikt nie śmiał przemówić.

Uczynił to pierwszy Olszyński. Ukłonem podziękował Wandzie, ale miejsca nie porzucił.

— Pomogło? — spytała nieśmiało. Zamiast odpowiedzi, położył rękę na sercu, rozjaśnionym wzrokiem zastępując słowa.

— A widzi pan! — szepnęła niby z wymówką, której jednak pełne tkliwości wejrzenie przeczyło, i szyb-

ko powstawszy, zaczęła składać rozrzucone na fortepianie nuty.

Teraz dopiero rozległy się pochwały. Słodowski zaczął bić entuzjastycznie brawo, ciocia Femcia kiwać się z zachwytu i winszować w pochlebnych wykrzyknikach Janowi wirtuozostwa.

Pani Olszyńska z Walą ze swej strony obsypywały Wandę komplementami, co znowu połechtało ojcowską dumę gospodarza, więc pocałowawszy córkę w czoło, jął powtarzać:

— Zrobiliście nam prawdziwą przyjemność! prawdziwą przyjemność... Patrzaj! ty nic dobrego!... spłakałem się, słuchając...

Istotnie miał mokre rzęsy.

Równocześnie Słodowski, zbliżywszy się do Jana, unosił się:

— Ależ gracie, panie Janie! ależ gracie! Wierzyć się nie chce doprawdy! I to na cztery ręce! Ot sztuka! sztuka!

A potem nieco zażenowany nieświadomością spytał:

— Czy to Moniuszki?...

— Nie. W układzie na fortepian *Ständchen* Szuberta — odrzekł Olszyński, uśmiechając się pod wąsem.

Słodowski poruszył się żywo i zapominając się, z uczuciem niejakiego zawodu, palnął:

— A takie psia... ładne! że myślałem... — Uciął pomieszany. Ten wyrzucony w zapale, choć w połowie urwany wyraz, zawstydził go niezmiernie. Przytkał dłonią usta, głowę zniżył, wciągając szyję aż za kołnierz marynarki, okiem powiódł trwożliwie wokół. W końcu zakręcił się na pięcie, a spostrzegłszy, że zajęte sobą towarzystwo nie zwróciło na jego wykrzyknik uwagi, z niejaką ulgą bąknął:

— Upiekło się...

I zaczął Jana przepraszać tak gorąco, jakby rzeczywisty występek popełnił.

Uspokajał go Olszyński, w żart obracając niefortunną przygodę i tłumacząc szczerze, aby sobie nic z tego nie robił. Ale chemik nieżartem wziął to do serca. Posmutniał i już do samego wyjazdu trzymał się na uboczu, mało mieszając do rozmowy.

Niebawem też zaczęto zbierać się do odjazdu.

Gospodarz chciał gwałtem zatrzymać gości na wieczerzę, w czem mu silnie dopomagały panie Eufemja i Wanda. Że jednak pani Olszyńska obawiała się chłodnej nocy ze względu na zdrowie Wali, przestano w końcu nalegać.

Zanim konie zaszły, pan Bruzdowicz wszczął jeszcze z Olszyńskim rozmowę o Kurzbachach i już wprost radził, aby w stosunkach z administratorem zachował możliwą ostrożność i nie narażał się w niczem. Na wyjezdnem zaś przypomniał, całując ręce pani Olszyńskiej:

— Niechże pani dobrodziejka! częściej na nas będzie łaskawa! A o „poprawinach“ proszę pamiętać!

W tymże czasie Olszyński, żegnając Wandę, mówił przyciszonym głosem, ukazując na stojącego przy drzwiczkach pojazdu Słodowskiego:

— Tenby także chciał zagrać z kimś na cztery ręce, bo się zmartwił.

— Czemże? — spytała.

— Że „*Ständchen*“ Szuberta, nie Moniuszki...

Uśmiechnęła się, skinęła na Walę i szepnęła jej na ucho:

— Patrz Walu, jaki pan Stanisław czegoś smutny!

Panna Olszyńska zrobiła minę, że ją to nic nie obchodzi, złożyła wargi w lejek, zerknęła zyzem i odrzekła, tłumiąc śmiech:

— Martwi go, że będzie musiał uczyć się tańczyć. — A potem jak mogła najciszej dodała:

— Szkoda jednak, Wandziuchno, że ty na tym balu być nie możesz!

Co rzekłszy, zwróciła główkę w stronę, gdzie na mrocznej zasłonie nocy widniała jaśniejsza rozświetl płynących z fabryki odblasków.

W tej chwili tam pobiegła jej myśl, szukając wyobraźnią innej, nie Słodowskiego twarzy.

VI.

Tegoż dnia, podczas wizyty Olszyńskich w Brzostowie, Gżycki zaszedłszy do mieszkania młodego Kurzbacha, wszczął rozmowę o projektowanej uroczystości.

Horst Kurzbach przyjął go dość chłodno, i po pierwszych zaraz słowach przerwał kwaśno:

— Przyznam się panu, że mnie się ta cała komedja niepodoba. Jeśli obywatele odmówią, zamiast przyjemności, zrobi się staremu przykrość. Mojem zdaniem projekt nie w porę. Stosunki podrażnione... Lepiej było ograniczyć się wyłącznie na fabrycznem kółku.

Gżycki zaczął upewniać, że się wszystko uda wyśmienicie.

— Z wyjątkiem Bruzdowicza wszystkich jestem pewien — poręczał. — A i ten, skoro pan dyrektor osobiście go poprosi, przyjedzie.

— Tak pan sądzi?

— Ani na chwilę nie wątpię o tem, panie dyrektorze!

— A ja przeciwnie. Byłem u niego dwukrotnie. Przyjął mnie grzecznie, ale traktował jako interesanta. Nawet córki nie raczył pokazać, choć w rozmowie dawałem wyraźnie do zrozumienia, że pragnę jej być przedstawionym. Ten nie przyjedzie.

Gżycki zrobił ruch przeczący.

— Zobaczy pan dyrektor — odezwał się tonem przekonania — że byle pan dyrektor raczył się pofatygować, przyjmą go teraz z uprzedzającą grzecznością. Sytuacja się zmieniła — dodał znacząco.

— Nie rozumiem.

— Sytuacja się zmieniła — powtórzył oficjalista, uśmiechając się znacząco. — Teraz przyjmie pana dyrektora z uprzedzającą grzecznością... Panna nieszpetna, a stary Bruzdowicz to ryba! kalkulant! ho, ho!

— Słyszałem, że Olszyński miał pewne zamiary — zauważył Horst Kurzbach.

Gżycki machnął ręką z lekceważeniem.

— Było tam coś, ale teraz spaliło na panewce. Pan dyrektor nie zna tutejszych stosunków. Bruzdowicz, myśląc, że Olszyński zajmie wpływowe stanowisko... — urwał, pozwalając Horstowi domyślać się reszty. Ten zamyślił się przez chwilę, w końcu rzekł:

— Choćby i tak było, jak pan twierdzi, w każdym razie dotychczasowa zażyłość z Olszyńskimi będzie pańskiego Bruzdowicza krępowała.

Gżycki przerwał żywo:

— Bynajmniej! Zwłaszcza, że i Olszyński teraz z innej beczki zaczyna. Ja znam ludzi, panie dyrektorze. Widząc, że opozycją nic nie wskóra, zmiękł. Pani Olszyńska zgodziła się być gospodynią balu...

— A panna, panna?...

Gżycki spojrzał z ukosa i jak mógł najszybciej odpowiedział:

— Panna! panna Walentyna!? Oczywiście... Oczywiście... ucieszona niezmiernie... Młode to, nudzi jej się w domu... To też kiedy zaszedłem do nich z zawiadomieniem o balu, nie posiadała się z radości. To bardzo ładna osóbka — dorzucił.

Po twarzy Horsta przebiegł wyraz zadowolenia. Przystąpił do stojącego w potulnej postawie Gżyckiego, poklepał go po ramieniu.

— Pan jesteś sprytny człowiek... panie Gżycki, — pochwalił.

Oficjalista skłonił się nisko. W bystrych jego oczach przemknęło momentalnie szyderstwo, ale stłumił je zaraz i ponawiając ukłon, czekał dalszych słów młodego Kurzbacha, który po niejakiem wahaniu dopowiedział:

— Mam przeto nadzieję, że będę z pana zadowolony. Lubię ludzi, którzy mię rozumieją. Ale... *à propos* balu... Zrobiłeś pan przypuszczalne obliczenie kosztów?

Gżycki pośpiesznie sięgnął do kieszeni i wydobywszy rachunek, podał go ze słowami:

— Spisałem wszystko.

Kurzbach rzucił okiem, siadł przy stoliku, podpisał i oddając z powrotem oficjaliście, przemówił:

— Zgłoś się pan jutro do kasjera, wyasygnuje potrzebną sumę. Prócz tego specjalnie dla mnie zamówisz pan piękny, o ile można najpiękniejszy bukiet — wydobył z pugilaresu kilka asygnat — bukiet z róż i tuberoz... — Panna Olszyńska lubi kwiaty, prawda?

Roześmiał się. Gżycki zawtórował mu dyskretnie.

— Zrobi się, panie dyrektorze — odrzekł, chowając pieniądze.

— Tylko o tem sza! — dorzucił dyrektor i kiwnąwszy Gżyckiemu głową, na znak, że mu nic więcej do powiedzenia nie ma, zaczął świstać i nucić:

„Es war einmal Bon-vivant.
Und eine Dame!...“

Oficjalista, zgięty w pałąk, kłaniając się nisko, znikł za drzwiami. Tu wydobył otrzymane pieniądze, przeliczył.

— *Man muss leben und leben lassen* — mruknął, zacierając ręce. W oczach mignął mu wyraz lisiej chytrości i zbiegł po schodach chyżym krokiem, śpiesząc ku fabrycznej bramie.

Młody Kurzbach rzucił się na szezląg i wyciągnięty niedbale, nucił dalej knajpiarską śpiewkę. Uśmiechał się przytem lubieżnie, widocznie pod wpływem myśli, jakie snuł w głowie.

Wreszcie przestał śpiewać. Natomiast sięgnął do portfelu, wydobył zeń maleńką wizytową fotografję i zapatrzył się.

Była to podobizna panny Olszyńskiej.

Patrzył i myślał głośno: — Podobna do Pepi. Ba! jeszcze piękniejsza! Pepi miała usta za szerokie i uśmiech nie tak wabny. A ta... Nadewszystko oczy ma prześliczne, i umie patrzeć.

I znowu zanucił:

Die schönsten Augen
Hat die Polin...

Oczy mu się zaiskrzyły, twarz pokraśniała, grube, mięsiste wargi poczęły drgać. Przytknął fotografję do ust i pocałował. A potem mruknął.

— To będzie prawdziwy *majstersztyk* jeśli się uda. Niebezpieczna rzecz, ale ja właśnie to lubię... To dodaje apetytu... Chociażby dlatego muszę z tym Olszyńskim być dobrze.

Zamyślił się, nie odrywając oczu od fotografji. Nagle spochmurniał.

— Stary będzie się krzywił, — rozważał — bo Olszyńskiego nie lubi. No! i ja go nie uwielbiam, ale trudno... drzeć z bratem koty, a kochać się w siostrze... Miłość wymaga poświęcenia — uśmiechnął się ironicznie — każdy zresztą ma swój cel... ojciec pieniądze, a ja... Ja przedewszystkiem nie przyjechałem się tu nudzić, a ta mała na serjo apetyczny kąsek... To nie tamte... o nie! — dokończył w myśli.

I myślał pod każdym względem szczerze. Nie przeszedł jeszcze życiem tej linji demarkacyjnej, poza którą Niemiec staje się w pełni Niemcem, nie ujął jeszcze swych żądz i pragnień w prawidłowy systemat. Młoda, gorąca krew nie zdążyła dostatecznie wyszumieć w burszowskich kółkach, nie przeszła koniecz-

nego fermentu, nie nabrała limfatycznego spokoju, lecz grała jeszcze w żyłach całą falą nieujętego w karby rozpasania.

Młody Kurzbach nie był jeszcze ułożony do czekających go zadań życiowych, tresura nie była skończona. Był, jak wyżeł w pierwszem polu. Naturalny popęd brał w nim dotąd górę nad wszelkiemi planami, młodość łaknąca użycia, zasłaniała niedość wpojone poczucie masowego celu. Nie poddał jeszcze karku pod teutoński ideał o tyle, aby w chwilach podniety mieć go wyłącznie przed oczyma.

Był Niemcem, ale z tego przejściowego okresu: „*Wein! Weib! und Gesang!*"

Jakoż kiedy przed kilku miesiącami jechał z woli ojca nad Wisłę, żal mu było dotychczasowego wesołego życia, jakie pędził w czasie studjów. Imponowało mu wprawdzie stanowisko, które miał zająć, nęciła samodzielność, ale duszy nie wypełniała inna misja, prócz misji młodości.

Tej chciał przedewszystkiem zadość uczynić.

Więc przyjechawszy, nie zamierzał bynajmniej skwitować z tego, co mu dotąd całem życiem było:

Wein! Weib! und Gesang!

Był młody, zdrów, dość przystojny, o Polkach słyszał, że bywają piękne, bardzo piękne...

I oto zaraz po przyjeździe spotkał pannę Olszyńską na spacerze... Porwała go uroda dziewczęcia. Postanowił *kochać się.*

Jeszcze się w żadnej „Polce" nie kochał... To go bardziej podnieciło. Skrupułów nie miał żadnych, zresztą siostra oficjalisty wydała mu się w pierwszej chwili łatwą zdobyczą.

Stopniowo spostrzegł, że praktykowaną dotychczas drogą nie dojdzie do celu i czuł się upokorzonym. Równocześnie zaś uczuł, że to „kochanie się" stało się jemu samemu potrzebnem, że się bez niego już obejść nie jest w stanie.

I chęć postawienia na swojem poczęła w nim nurtować na dobre, a w końcu tak owładnęła, że gotów był wszystko stawić na kartę!

Do nienasyconej żądzy dołączyły się upór i złość, płynąca z niepowodzenia.

Nawet obawa pokrzyżowania planów ojca, już go powstrzymać nie mogła.

„Każdy ma swój cel... a ja przedewszystkiem nie przyjechałem się tu nudzić..." Ta myśl, urodzona przed chwilą w roznamiętnionym mózgu młodego Kurzbacha — była prawdą, jak prawdą było również, że będzie to prawdziwy *majstersztik*, jeśli się uda...

Jednakże pomimo tego, kiedy zapatrzony w ukradkiem wyciągniętą z albumu fotografję Wali, rozmyślał, wstrząsnął nim dreszcz i chmurę wywołał na czoło.

Powstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Wreszcie, przystanąwszy przed zawieszonem na ścianie zwierciadłem, jął przyglądać się własnym rysom. Wyprostował się, pierś wyprężył i stał tak chwilę bez ruchu.

Twarz mu stopniowo pogodniała.

Odbite w lustrze szramy, których miał kilka na twarzy, przypomniały mu o przebytych już w życiu awanturach.

— W najgorszym razie... głupstwo! jeden pojedynek więcej, — szepnął.

Poczem, dotykając palcem pokiereszowanych policzków, liczył w pamięci otrzymane cięcia:

— To... za Elisabet, to... z *Fuchs-majorem* o rudą Stefi, te dwa... o Pepi... jednego dnia z Wilem i Ernestem... A ona ładniejsza od Pepi, o, ładniejsza!

Stanął w pozycji, zgiął ramię i jakby w dłoni rapir trzymał, zwrócony pół-bokiem, wykonał kilka udanych pchnięć.

Potem machnął ręką i, jakby nie chciał tem wię-

cej zaprzątać sobie głowy, zaczął figlować z rozciągniętym na dywanie dogiem.

Wszedł lokaj z zawiadomieniem, że go ojciec wzywa do siebie.

Młody Kurzbach skrzywił się.

— Stary będzie mię znowu nudził interesami — pomyślał z niechęcią i odrzekł cierpko:

— Idę zaraz.

Dał znak służącemu, żeby się oddalił, sam też niebawem, poprawiwszy ubranie, gwiznął na psa i wyszedł.

Zastał ojca zajętego odczytywaniem przywiezionych z poczty listów. Chmurny był i zirytowany.

Ujrzawszy syna, powstał żywo.

— Czytaj, Horst! — wykrzyknął, podając mu jeden z listów. — *Schöne Geschichte!* Czego im się zachciewa! *Kreuzdonnerwetter!*

Zaklął. Podparł boki dłońmi i sapiąc, czekał.

Horst wziął podany list i czytał.

— Żądają podwyżki — odezwał się dość obojętnie.

Stary rzucił się.

— *Ja! ja!* A ja nie dam! nie dam! nie dam! — wybuchnął. — To wszystko Olszyńskiego robota! — sarknął, tupnąwszy nogą.

Horst nie odrzekł nic. Znając charakter ojca, postanowił przetrzymać pierwszy wybuch. Położył odczytany list na stole i usiadł na najbliższem krześle.

Stary Kurzbach tymczasem mówił, a raczej krzyczał, zaciskając pięście:

— Ja wiem! ja wiem, że to ten *Halunker* intryguje! ja wiem i znosić tego dłużej nie myślę! Jutro zaraz wypowiem mu miejsce, a tym... tym... odpiszę... każę odpisać, że fabryka nie może płacić więcej. Chcą... niech plantują... a nie?... to *Himmelkreuzdonnerwetter!...*

Zaklął znów i spojrzał na syna. Ten siedział, bawiąc się brelokami od dewizki, z miną człowieka, który się zgadza na wszystko, bo go nic nie obchodzi, i milczał.

Stary spytał gniewnie:

— I cóż ty na to, Horst? hm?

— Ja? Nic. Ojciec zrobi jak zechce. Mnie wszystko jedno.

— *Aber doch?*

— Wszystko mi jedno — powtórzył Horst — bo w takim razie ja tu nie zostanę.

Otto Kurzbach schwycił się za głowę.

— Co ty mówisz, warjacie! — huknął, wyłupiając oczy. — Co ty mówisz? — powtórzył ze wzrastającym gniewem.

Uniesienie zatamowało mu mowę. Poczerwieniał, zerwał się z krzesła i padł znów, oddychając ciężko, sapiąc i prychając w odęte wargi. Wreszcie twarz mu zaczęła blednąć, zasępione pod krzaczastą brwią oczy łagodnieć, i nie patrząc na syna, zwrócony do okna, spytał, siląc się na spokój:

— Racz-że mi przynajmniej powiedzieć, skąd to nagłe postanowienie? Czy ty mię masz za głupca, który nie wie co robi! Jest-żeś przyjacielem Olszyńskiego?! A może cię to cieszy, że na każdym kroku stara się mnie starego zohydzić? że podmawia tych... tych... głupców!? To cię cieszy! i dlatego chcesz go bronić? No, to winszuję! — ciągnął z przekąsem, a w miarę, jak mówił, znać było, że usiłuje dotknąć najdrażliwszej struny synowskiego uczucia, aby wywołać zaprzeczenie.

I rzeczywiście liczył na to, ale się zawiódł.

Horst podczas całej tyrady ojca nie zmienił wyrazu twarzy; kiedy zaś ten skończył, powstał i ucałowawszy go w ramię, rzekł z żartobliwą poufałością:

— Poco się irytujesz, ojcze! Poco wygadujesz rzeczy, w które sam nie wierzysz? Twój Horst zna

cię dobrze i kocha... Ty jesteś... ptak mój stary! Ale posłuchaj...

Otto Kurzbach patrzał uporczywie w okno. Horst objął głowę ojca rękoma i, skierowawszy ku sobie, spojrzał mu w oczy.

— *Nu! nu!* mów — burknął stary.

Młody Kurzbach pochylił się teraz tuż nad jego ramieniem, począł się doń śmiać swemi melancholijnemi oczyma, przyczem mówił:

— Dobrze ci to mówić, mój stary! Tego wypędzę, tym... odmówię... postawię na swojem! Zrobisz... i pojedziesz sobie.Przyjedziesz znów może za rok. Wybacz, ale ja zupełnie nie mam ochoty pić piwa, które nawarzysz. Pomyśl sam!... Jakie ja miałbym tu życie! I tak nas nienawidzą... Olszyński strawić nie może, że zrobiłeś mnie dyrektorem, cóż dopiero byłoby, gdybyś go jeszcze wypędził z fabryki! Powstałby taki wrzask!...

Tu młody Kurzbach zatkał sobie uszy i odstąpiwszy kilka kroków, jął powtarzać:

— Nie chcę! nie chcę! Pojmujesz, że mieszkając tu, muszę, bądź co bądź, stykać się ciągle z tym światem, a przyznam ci się, ojcze, że drzeć się ze wszystkimi niezbyt urocza perspektywa! Słowo honoru, mam tego dość!

Stary Kurzbach przerwał:

— Więc według ciebie, ja po dwudziestu pięciu latach pracy, nie mam praw żadnych. Nie wolno mi syna mianować dyrektorem. Tak sądzisz?

— Ależ nie! nie! i jeszcze raz nie! Masz prawo, skoro mogłeś to uczynić. Ale widzisz, mój dobry stary! my tu w każdym razie nie jesteśmy u siebie... I oni mają jakieś prawa... No, nie gniewaj się! ale w tym wypadku nie masz racji.

Otto Kurzbach żachnął się, lecz nie przerywał synowi. Ten zaś, po chwilowym namyśle, tak mówił:

— Nie sądź, że ja trzymam ich stronę. Poprostu

widzę tylko inaczej. Ty chcesz iść przebojem, ja radbym obrać inną drogę. Na wszystko będzie czas. Jeżeli Olszyński istotnie intrygował, o czem zresztą nie wątpię, to się już stało. Ja bym go właśnie dlatego starał się zatrzymać jak najdłużej. Wówczas nie my jemu, lecz on nam krzywdę wyrządził. Plantatorzy żądają podwyżki... Odmówić z początku, a później dać z własnej woli. Bo czy my na serjo nie możemy więcej płacić?

Stary Kurzbach słuchał cierpliwie. Przy ostatnich jednak słowach syna potrząsł przecząco głową, ale skinął ręką na znak, aby mówił dalej. Widocznem mimo to było, że mięknie, że w duchu podziela poglądy syna, tylko jeszcze otwarcie przyznać się do tego nie chce.

Młody Kurzbach spostrzegłszy, że się dobrej chwycił taktyki, nie wątpił, że ta chwila niebawem nadejdzie, i postanowił ją przyśpieszyć. Mówił więc dalej, nie zważając na przeczące ruchy ojca, a mówił do pewnego stopnia szczerze, bo poza pobudkami osobistemi, wierzył istotnie, że w teraźniejszych okolicznościach iść *durch und durch* nie można.

W końcu zaś rzekł tonem żartobliwej uwagi:

— Ostatecznie, mój ojcze, ja i tego nie rozumiem, dlaczego my wogóle tu gwałtem mamy zostać?! *In Polen ist viel zu hohlen...* prawda, ale my jesteśmy już dość bogaci. Ja na twojem miejscu, mój stary, urządziłbym już dawno rejteradę. Poco nam u licha to wszystko!?

Stary Kurzbach, któremu już twarz rozjaśniła się zupełnie, zgrzytnął i, porwawszy się na równe nogi, w najwyższej pasji zawołał:

— Milcz! milcz!

Horst, pomimo całej śmiałości, zląkł się i machinalnie cofnął w tył, na razie nie zdając sobie sprawy z raptownego wybuchu ojca. Ten zaś stał teraz naprost syna, trzęsąc się cały, z rękoma podniesionemi

do wysokości zaczerwienionej twarzy, z okiem połyskującem niepohamowanem uniesieniem. Czas jakiś po pierwszym, rozkazującym wykrzykniku, gryzł tylko wargi, dysząc ciężko, gibocząc się korpusem z boku na bok; po chwili dopiero wybuchnął powtórnie, przedrzeźniając niejako słowa syna:

— „Ja na twojem miejscu urządziłbym oddawna rejteradę“... *Herr Gott und Himmel!* I to mówi Niemiec... Horst Kurzbach! mój syn! To powiedział *Niemiec!*

W głosie drżało szyderstwo, rozjątrzenie; wyrazy padały ostro, szybko. Pluł poprostu słowami:

— I tyś to powiedział, mój syn?! Więc twojem zdaniem, ta ziemia, którą zdobyliśmy naszą kulturą, niemiecką wytrwałością, niemiecką industrją — wołał z naciskiem — ten kraj płonek, na których zaszczepiliśmy naszą cywilizację, ziemia przesiąkła niemieckim potem, nie jest naszą prawną zdobyczą, zdobyczą niemieckiego ducha i ramion?! Więc ty nie odczuwasz wielkiej misji naszego narodu!? Nie uznajesz, że ziemia, na której raz niemiecka stopa stanie, winna być naszą, naszą ziemią! Toś ty nie Niemiec, mój Horst!— dokończył z groźnym wyrzutem i prawie że smutno.

Rzucił się całym ciężarem ciała na kanapę, jakby go to przemówienie wyczerpało. Rozpiął nerwowo kamizelkę i z wyrazem bolesnego zawodu patrzył w pomieszaną twarz syna, który, przestępując z nogi na nogę, stał w milczeniu, z falującą wzruszeniem piersią.

Początkowo gniewne wystąpienie ojca przyjmował z chłodnym spokojem, zdecydowany stawić opór; lecz stopniowo, w miarę jak stary Kurzbach, zapalając się, uderzał w strunę patrjotycznych uczuć, w duszy jego zaczęły grać: podniecona duma plemienna i junkierska zarozumiałość.

Nie zgadzał się z poglądami ojca w zupełności jeszcze, lecz już im nie przeczył i nie starał się przeczyć, lecz szukał pośredniej drogi: kładł na jednej szali zarówno osobiste, jak i rozsnuwane przez ojca cele.

W duszy młodego Kurzbacha z porywami młodości, z naturalnemi instynktami człowieka, zespalały się teraz pycha rasowa i zaborczy popęd Teutona.

Więc kiedy stary, utonąwszy w miękkiem wysłaniu kanapy, po chwilowej przerwie ponowił wyrzuty, nachylił się do ręki ojcowskiej ze słowami:

— Przepraszam cię, ojcze! Źle się wyraziłem. Ja także rozumiem naszą powinność!

Stary żachnął się jeszcze, usuwając rękę, ale zaraz począł łagodniej spoglądać, następnie zaś, ukazując na kanapkę, rzekł:

— Siadaj!

Horst spełnił rozkaz.

Przez kilka sekund siedzieli obaj bez słowa.

Stary, po gwałtownej scenie, potrzebował ochłonąć, młody wpaść w ton odpowiedni nastrojowi ojca.

Wreszcie pierwszy Otto Kurzbach przemówił:

— Horst, zrobiłeś mi przykrość. Ale nie mówmy już o tem!

Ujął syna delikatnie za ucho, poczem spytał:

— Czy tobie się tu przykrzy, Horst?

Ten potrząsł głową i z niejakiem zdziwieniem popatrzył na ojca, który, uśmiechając się, ciągnął:

— Dziewczęta ładne?...

Usta rozchyliły mu się lubieżnie, obrzękłemi powiekami ruszył i poklepał syna w kolano.

Ten zaniepokoił się. Przez myśl przebiegło mu błyskawicą, że ojciec bez powodu nie wszcząłby na ten temat rozmowy, że może jego umizgi do panny Olszyńskiej wyszły na jaw. Przymusił się wprawdzie do uśmiechu, niemniej jednak zatroskał i machinalnym ruchem dotknął kieszeni surduta, gdzie przed przyjściem do mieszkania ojca, schował fotografję

Wali. Chciał coś wymijającego odpowiedzieć, ale się zawahał, zająknął.

Dalsze słowa ojca rozwiały nasuwające się podejrzenia. Obawa była bezpodstawna.

Stary Kurzbach dopytywał się w dalszym ciągu tonem przyjacielskiej pobłażliwości:

— Polki ładne?... bardzo ładne... *Nicht wahr? Horst!*

I niedwuznacznie dając do zrozumienia, że uznaje prawa młodości, rzucił kilka jeszcze podobnych pytań, poczem jął opowiadać jakąś awanturkę miłosną z przed lat kilkunastu, z chełpliwą dosadnością w szczegółach i z widocznem ze wspomnienia zadowoleniem.

— Tak! tak! — mowił. — To inny rodzaj kobiet. Jakby stworzony do kochania tylko! I dlatego nie dziwiłbym ci się zupełnie, gdybyś sobie i ty tutaj jaki „*Schatz*“ upatrzył. Jak cywilizować, to cywilizować! Ale ostrożnie, bo to niebezpieczne istoty — przestrzegł, a potem, obrzuciwszy syna bystrem, śmiejącem wejrzeniem, spytał:

— A może ty już masz? Powiedz! no, powiedz!

— Nie, nie! — przeczył młody Kurzbach, uśmiechając się pod wąsem, który pokręcił z fantazją.

Miał wielką ochotę pochwalić się przed ojcem, lecz powstrzymywał się jeszcze. Obawiał się, że stary w uniesieniu, mógł rzucić jakiem niebacznem słowem, dla zrobienia przykrości Olszyńskiemu.

Więc choć twarz mówiła co innego, ponowił przeczenie.

— Nie, nie! nie próbowałem nawet i nie próbowałbym.

— No, no! — przerwał stary z niedowierzającą miną.

— Z tutejszemi kobietami gra niełatwa. Nie wiadomo z której strony uderzyć, a z każdej przylgnąć można. To nie nasze sentymentalne Gretchen! — ciągnął młody Kurzbach, rozgrzewając się i ośmielając stopniowo. — Niedawno tu przebywam, a jednak już zauważyłem wydatną różnicę, jaka istnieje między Niemką a Polką. Nasze kobiety to istoty, naginane od maleńkości w pewnym kierunku, rozwijają w sobie, jak kurczak hodowany na pulardę, tylko konieczne do przyszłych przeznaczeń zdolności, z zatraceniem innych zalet.

— A Polki? Polki? — zagadnął stary Kurzbach natarczywie.

Na to obcesowe pytanie, z ust Horsta wybiegło entuzjastyczne:

— *Prachtvoll! Famo...os...s!*

Oczy mu się zaiskrzyły, na policzki wystąpił gorączkowy rumieniec.

Otto Kurzbach wykonał ruch, jakby chciał powiedzieć: „a widzisz“, poczem ujmując rękę syna, spojrzał mu bystro w oczy i odchrząknąwszy, zaczął:

— *Na! na!* Twój stary wie coś o tem... Istotnie piękne są, a dla młodych to wystarcza — przemówił, ale już poważnym, pouczającym tonem. — Ja to rozumiem, ja... sam byłem takim.

Znowuż zamyślił się i po chwili zagadnął nagle:

— Cobyś na to powiedział, Horst, gdybym ci na serjo radził ożenić się z Polką!?

Ten niespodziewany zwrot w rozmowie wprawił młodego Kurzbacha w osłupienie. Propozycja ojca wydała mu się czemś tak nienaturalnem, że początkowo sądził, iż się przesłyszał, lub że stary, pod wpływem dobrego humoru, probuje zeń żartować.

Bąknął też tylko: „Z Polką? z Polką?“ i zerwawszy się na równe nogi, patrzył na ojca wzrokiem pełnym zdziwienia i niepewności. Nie mieściło mu się w głowie, aby ojciec mógł o czemś podobnem pomyśleć.

Tymczasem stary Kurzbach, nie dając mu ochło-

nąć, ciągnął, starając się swemu przemówieniu nadać charakter głębokiego namysłu:

— To nie żarty, Horst! Ja to rozważałem i rozważyłem wszechstronnie. Posłuchaj! Mam was trzech! Karl obrał sobie karjerę urzędową. Ten powinien zostać w ognisku naszej niemieckiej ojczyzny... Emil wyjechał do Londynu... Nosi się, jak wiesz, z zamiarem osiedlenia w Afryce... Nasz pień niemiecki potrzebuje się rozrosnąć... Niech jedzie. Zaręczył się z córką angielskiego kupca, to mu ogromnie ułatwiło zawiązanie koniecznych stosunków... Niech jedzie — powtórzył. — Tam stworzy nowe gniazdo dla naszej kultury... Nam Niemcom u siebie ciasno. My jesteśmy naród wielki, potrzebujemy przestrzeni i musimy ją zdobyć. Inaczej ten pień usechłby z braku soków, wyczerpał grunt pod sobą i runął. Rozumiesz, Horst?

Dobierał wyrażeń, aby myśl ukrytą wypowiedzieć dokładniej, aby ją przelać w pierś, słuchającego w ciągłem zadziwieniu, syna.

Jednakże, pomimo kaznodziejskiej napuszoności wygłaszanych frazesów, drgała w nich nuta silnego przekonania i nieugiętej woli, jakaś zasada rdzenna niemieckości, pod którą podporządkowywał indywidualne pobudki i pragnienia.

Jakoż, kiedy uderzywszy w ideę kulturalnego posłannictwa, zwrócił się do syna z zapytaniem: czy rozumie? — ten bezwiednie skłonił głowę i odrzekł:

— Tak.

Otto Kurzbach zatarł ręce i przechodząc do ostatecznego wniosku, wykładał ze wzrastającym zapałem:

— Ciebie, Horst! — pragnąłbym widzieć na mojem miejscu. Ty masz trochę racji, chłopcze! Czasy się zmieniły, tembardziej jednak, nie należy nam wypuszczać z rąk raz zdobytego stanowiska. Ustąpić — to znaczy skurczyć się, cofnąć w dziejowym pochodzie. Zostać, utrwalić zdobyte potrzeba. Dla tego celu warto coś poświęcić, zwłaszcza, gdy w gruncie rzeczy owo poświęcenie nie ma w sobie nic tak strasznego. Bo wszakże Polki piękne?

Zaśmiał się.

— Gdybyś się tak z córką Bruzdowicza ożenił?

Horst wytrzeszczył oczy.

— Ależ ten człowiek patrzeć na nas nie może... ojcze!

— Właśnie dlatego. Sprobuj, Horst! Wydaje ci się to niemożebnem, a ja prawie, że jestem pewien, iż gdybyś tylko chciał... Nie trzęś głową! Ty jesteś dobrą partją, Horst! a to coś znaczy... Wierzaj mi, znaczy... Przytem, wiesz co? Oni będą to uważali za rodzaj zwycięstwa. Polka podbiła Niemca! to im pochlebi...

I rad z konceptu, wybuchnął śmiechem. Zaraz jednak wrócił do poprzedniej powagi i nie dając przyjść do słowa zdumionemu synowi, jął wyłuszczać szczegółowo plan całego postępowania, który, jego zdaniem, musiał być uwieńczony dobrym skutkiem.

— Jednego się tylko obawiam... żeby cię z czasem nie zawojowali... Ale nie! nie! ty jesteś Kurzbach! prawdziwy Kurzbach — dokończył z ufnością. — Moja krew! Ty będziesz zawsze pamiętał, że to będą moje wnuki, że będą nosić nasze rodowe nazwisko. Zresztą... będą się chowały... u dziadka...

Przy tych słowach wpadł w rozczulenie i zaczął, chlipiąc, powtarzać:

— *Bei'm Grosvater! Bei'm Grossvater!*

Horst przez uszanowanie dla ojca, o którym wiedział, że go ze wszystkich dzieci najbardziej kocha, powstrzymywał się dotąd, słuchając cierpliwie wywodów starego, które za niewykonalną *idée fixe* uważał.

Na wzmiankę jednak o „wnukach“, nie mogąc się pohamować dłużej, parsknął śmiechem.

Stary rzucił się gniewnie.

— Ja mówię na serjo, Horst — rzekł surowo.

— Ja również na serjo odpowiadam, że to są rzeczy poprostu, no, poprostu niemożebne!

— Dlaczego? dlaczego? dlaczego? Może ty nie chcesz?

— Mniejsza o mnie. Ja mógłbym pójść za twoją radą, ojcze...

— A więc?

— Jest przecie strona druga. Panna, której, nawiasem mówiąc, dotąd nawet z widzenia nie znam, i ojciec, którego poznałem aż nadto dobrze. Bruzdowicz nas nienawidzi.

— Tłumaczyłem ci przecież przed chwilą... — przerwał Otto Kurzbach porywczo.

— Niemniej, wspominałeś przed chwilą, że Bruzdowicz stoi na czele zmowy plantatorów. Przyznasz przeto, że jedno sprzeciwia się drugiemu.

— To się załagodzi.

— Choćby. To jeszcze nie wszystko. Olszyński...

— Znowu ten Olszyński! — wybuchnął stary.

— Ten Olszyński kocha się w pannie, a ona w nim...

— Teraz ja ci muszę przypomnieć z kolei, żeś stawał w jego obronie.

— Z innych powodów i pod innym względem.

Stary uniósł się znowu:

— Nie chcę znać tych powodów i tych względów. Mnie wystarcza jeden. Olszyński mi zawadza i trzeba go zgnieść — rzekł twardo.

Poczem powstał i począł biegać tam i z powrotem po salonie, mrucząc niewyraźnie do siebie i wymachując rękoma.

Horst zamilkł również. Wobec wzrastającego rozdrażnienia ojca, nie chciał przedłużać rozmowy. Prócz tego uczuł się tak dalece oszołomionym, tem wszystkiem, co przed chwilą z ust ojca usłyszał, że w gruncie rzeczy nie zdawał sobie żadnej sprawy z własnych pragnień i pożądań. Nie chciał w dalszym

ciągu odpowiadać ojcu, skoro samemu sobie odpowiedzieć nie umiał. Czasami propozycja ojca, którą uprzednio za śmieszną i niemożebną uznał, wydawała mu się dość racjonalną, dość łatwą do uskutecznienia, to znowu przeczył jej w duchu, i jako chybioną odrzucał. Przylgnęła jednak doń o tyle, że czuł ją w sobie, tylko wrażeń tego czucia zważyć na szali swych pojęć jeszcze nie zdołał.

Jakoż zamilknąwszy, posiedział chwilkę, wałkując przelatujące w głowie myśli, wreszcie wziął leżący obok na stoliku kapelusz i zabierał się do wyjścia.

Ale stary powstrzymał go ruchem ręki, więc przystanął, oczekując. Zmógł się i postanowił słuchać na chłodno. Równocześnie podobne postanowienie powziąć musiał i stary Kurzbach, bo oto zarzuciwszy ton popędliwy, odezwał się z flegmą:

— Dajmy pokój sporom, Horst! Nie jesteś dzieckiem, więc o swym losie sam decydować będziesz. Wyjawiłem ci swoje życzenia, nie myśląc cię w niczem krępować. Zrobisz jak zechcesz. Ufam ci. Swoją drogą projekty moje nie są ani złe, ani niewykonalne, być może, iż tylko przedwczesne...

I spojrzał na syna.

Ten, widząc ojca zmiękczonym, odrzekł bez namysłu:

— To jedno miałbym im do zarzucenia. Są przedwczesne. Należy je zostawić na koniec, a przedewszystkiem...

— Przyznajesz jednak, że byłoby wcale nieźle mieć je w pamięci i dążyć do utrwalenia naszych stanowisk z pomocą tak wygodnego środka? — przerwał stary.

— W zasadzie przyznaję, lecz, jak już powiedziałem, przedewszystkiem wypadałoby utorować ku temu drogę. W obecnych warunkach, podobny krok...

— Nie doprowadziłby do celu. Wiem! wiem!...

Ja jestem gorączka... ale nie zwykłem się upierać przy swojem. Chętnie posłucham twych zapatrywań — uzupełnił Otto Kurzbach.

— Siadaj — rzekł, wskazując synowi fotel. — Pogadamy.

Sam też zasiadł obok, skrzyżowawszy ręce na piersiach, co miało oznaczać, że się uzbroił w cierpliwość i gotów jest wysłuchać do końca synowskiego przemówienia.

Było to już widoczne ustępstwo na rzecz ukochanego syna. Mówiły o tem zresztą oczy starego, wodzące z lubością po płowej czuprynie Horsta, który poczuwszy się panem sytuacji, postanowił skorzystać z dobrego usposobienia ojca.

Zaczął tedy w najłagodniejszy sposób przedstawiać teraz to, co przed chwilą w uniesieniu już był wygłosił.

Rozmawiali nie jak ojciec z synem, lecz jak różniący się jedynie wiekiem przyjaciele.

Otto Kurzbach już nie rzucał się, nie przeczył, miejscami jednak trząsł głową, zwłaszcza gdy Horst dotykał tak drażliwego przedmiotu, jak pozostawienia Olszyńskiego w spokoju, do czasu póki się sam nie usunie.

Ale i temu nie sprzeciwił się już jawnie, a nawet w końcu potakiwał, chociaż dodał, że wolałby się odrazu „tego pana“ pozbyć.

Horst zaś przyznał w duchu, że i on nicby przeciw temu nie miał, gdyby... gdyby nie to, że „ten pan“ ma siostrę, bardzo podobną do Pepi, tylko bodaj jeszcze piękniejszą...

Był to jednak jeden z tych względów, których ojcu otwarcie przytaczać nie chciał.

I bez tego zresztą zgadzali się teraz z sobą nad podziw łatwo.

Wreszcie rozmowa przeszła na temat podwyższenia ceny buraków. Młody Kurzbach był, jak poprzednio, zdania, że dla uniknięcia gotującego się konfliktu i zażegnania zaognionych stosunków, wypada im od siebie wystąpić z propozycją podwyżki, i tym sposobem uprzedzić zbierającą się burzę.

— Sądzę, ojcze, iż to nawet taniej wypadnie. Skoro my im ofiarujemy, oni stracą na razie podstawę do wyższych żądań. I cała sprawa z miejsca w łeb weźmie. Przekonasz się, ojcze! — tłumaczył dosadnie.

Ale stary Kurzbach na tym punkcie był nieugięty.

— Nie. Znam ich! — odrzekł też stanowczo: — Ucichną w tym roku, zażądają więcej w drugim. To półśrodek, Horst! Zostaw to już mnie. Ja z nimi dwadzieścia pięć lat handluję i znam ich na wylot! Na wylot! — powtórzył. — Zresztą poco podwyższać wszystkim? Wystarczy jednemu Bruzdowiczowi i o tem pomyślę. Reszta to śmiecie! — rzucił pogardliwie. — Tego ugłaskać trzeba, choćby ze względu na przyszłe nasze widoki.

Po twarzy młodego Kurzbacha przemknął wyraz powątpiewania, co widząc stary, po niejakim namyśle, napomknął:

— Ostatecznie dla twojej spokojności gotów jestem podwyższyć im... zaliczkę. W miejsce dziesięciu rubli na morgę, dam piętnaście. To nic kosztować nie będzie, a zobaczysz, że poskutkuje... poskutkuje...

Uśmiechnął się sam do siebie, zatarł ręce.

— Obgadywałem tę rzecz z Gżyckim — ciągnął dalej. — Ale... ale?... — podchwycił, jakby sobie przypominając. Doszło moich uszu, że mi tu jakiś... jubileusz wyprawiać mają?

Nie wypadało mu udawać nieświadomego, nie mógł zaś nawet przed synem przyznać się otwarcie, że obchód ten z jego wiedzą postanowiono.

Horst Kurzbach, wyrozumiawszy wymijające pytanie ojca, odrzekł najspokojniej:

— Dwudziestopięcioletni jubileusz administrowania cukrownią.

Otto Kurzbach nastroił twarz odpowiednio, spuścił oczy, jak człowiek pod wrażeniem miłej niespodzianki będący; że jednakże wobec syna komedji grać nie potrzebował, więc po przelotnym objawie wzruszenia, jakie, bądź co bądź, zaznaczyć wypadało, wrócił do poprzedniej, spokojnej powagi i mówił:

— Tak! tak... dwadzieścia pięć lat, szmat życia... Przyjemnie mi jest, że ludzie o tem pamiętają. Tylko bez żadnych upominków... proszę cię, Horst! bez upominków! Tego nie lubię. Kiedyż to ma nastąpić? — spytał.

— W tych dniach. Chociaż termin jeszcze nie oznaczony. Chcemy urządzić bal, w którym i okolica weźmie prawdopodobnie udział — odrzekł młody Kurzbach.

Stary kiwnął głową.

— To niezła myśl — odezwał się po chwili — widzisz, jak się to wszystko dobrze składa.

Przybliżył się i cichszym głosem kończył:

— Nie będę taił przed tobą, że mi o tem wszystkim już Gżycki mówił. Zgodziłem się chętnie, raz, że mi to osobistą przyjemność sprawia, powtóre i głównie nawet dlatego, żeby tobie, jak się przed chwilą wyraziłeś, drogę na nowem stanowisku utorować. Stosunek z plantatorami zadraźniony... tutejsi ludzie lubią zabawę... Rozumiesz? Idzie przeto o to tylko, aby ich na bal ściągnąć. Czy Bruzdowicza zamierzacie prosić?

— Naturalnie. Jego przedewszystkiem.

— Tego trzeba poprzednio kupić czemś. Inaczej nie przyjdzie. Widzisz jak to dobrze pospierać się czasem... Przychodzi mi teraz do głowy, żeby zaraz jutro wysłać do Brzostowa zawiadomienie, że fabryka... biorąc na uwagę... obszar plantacji i... wyborny gatunek buraków, podwyższa cenę dla plantacji brzostowskiej o... o... dziesięć kopiejek na korcu... Zatkamy mu gębę.

Horst potwierdził żywo:

— Doskonała myśl, ojcze! Jutro zaraz. Ja zaś pojutrze będę u Bruzdowiczów z zaproszeniem na bal.

— A o pannie pamiętaj!

— Przypuszczam, że Bruzdowicz córkę weźmie ze sobą, rzecz prosta o ile nie odmówi...

— *Na! Na!* podwyżka zrobi swoje.

Młody Kurzbach, pomimo nasuwających się wątpliwości, nie chciał już przeczyć. Zresztą i jemu samemu ponęta wydała się dość silną. Przytem w miarę jak nad tem rozmyślał, przypomniał sobie, że pani Olszyńska miała być gospodynią balu, co również za jeden z czynników zniewalających Bruzdowicza do przybycia z córką uznał. Wobec tego szanse powodzenia pojutrzejszej jego do Brzostowa wyprawy bardzo się zwiększały.

Rozmawiali tak ze sobą jeszcze pół godziny w wybornem porozumieniu.

Wreszcie Horst Kurzbach, którego w końcu jednostajność pogawędki znudziła, i radby się był od dalszego sam na sam z ojcem uwolnić, zaproponował przechadzkę do fabryki, sądząc, że ojciec, któremu tusza wszelki ruch czyniła niemiłym, odmówi.

Ale ku wielkiemu zdziwieniu, Otto Kurzbach zgodził się towarzyszyć synowi.

Wyszli.

Na podwórzu fabrycznem ciszej było niż zwykle. W dzień niedzielny świętowały warsztaty reparacyjne, w samej zaś cukrowni nie było przeróbki buraków. Większość maszyn stała bezczynnie. Około aparatów, dyfuzorów, pras, kręciło się pod dozorem „*vorarbeitera*“ kilkanaście robotnic, czyszcząc blaszane płyty, zmywając podłogi. Żółte światło lampek olejnych snuło się wraz z kopciem bladą strugą pomiędzy szeregiem bań miedzianych, w których wnętrzu kłębował podgęszczający się sok buraczany. Kwaśny zaduch wydobywanych przy czyszczeniu zgniłych

resztek krajanki, wapiennego szlamu, odór przemywanej w filtrach kości palonej, ostra woń wytłoków i wód odciekowych, pomieszane z dusznym oparem, wypełniały całe wnętrze fabryki.

Z murowanego rękawa mieszczącego kotłownię dolatywał stuk tłukących kamienny węgiel młotów, miarowy bełkot opancerzonej żelaznemi rurami pary...

Kurzbachowie, rozmawiając, weszli do wnętrza fabryki.

Stary z trudnością wydostawszy się po kręconych schodach, na galeryjkę chodnikową, jął rozglądać się, sapiąc ciężko.

Lubił nawet przed synem popisywać się znajomością zawodu i sprężystością. Więc podparłszy się pod boki, wodził wzrokiem bystro, mrucząc pod nosem i gestykulując na dowód, że na wszystko daje baczną uwagę. Czasami szedł kroków kilka, stawał raptem i, zapatrzony w jakiś przedmiot, chwytał się za głowę w zamyśleniu. Po chwili odrywał rękę od czoła i wykrzyknąwszy: *a ha!* szedł dalej. Niekiedy burczał:

— *Pfuj! Schweinerei!*

Właśnie uczynił to, stanąwszy przed porzuconą przez robotnicę na korytarzu ścierką. Kopnął mokrą szmatę nogą i zwracając się do syna, zawołał:

— Patrz, Horst! Polski porządek!

I zaczął groźnie wykrzykiwać, wzywając *„vorarbeitera“*.

— Jeszcze robota nie skończona — zauważył młody Kurzbach, ukazując na niewytartą z wody podłogę.

Otto Kurzbach machnął ręką niecierpliwie. Przyskoczył do zbliżającego się w pokornej postawie dozorcy i, nie szczędząc obelg, polecił zapisać robotnicy rubla kary. Poczem unikając jakiegokolwiek tłumaczenia, odwrócił się i możliwie szybkim krokiem podążył do kotłowni.

Palacz razem ze *„szpajzerem“*, siwym, zasuszonym chłopem, co lata swe od dzieciństwa w fabryce strawił, powitali wchodzących niskim ukłonem.

Otto Kurzbach kiwnął głową, ale nie zmienił gniewnego wyrazu twarzy. Przeszedł zwolna wyłożonym cegłą chodnikiem, wpatrując się w rozpłomienione paszcze palenisk. Dotknął palcami kranu jednego z wodowskazów, nacisnął świstawkę, spojrzał kilkakrotnie na manometr...

Wszystko było w porządku, nie miał powodu do gniewu, a właśnie chciał się gniewać, chciał wykazać swą sprężystość wobec miejscowego robotnika. W kotłowni pracowali sami Polacy, nawet *„szpajzer“* był chłopem z pobliskiej wioski i zwał się Maciej Smak.

Znał on *dministratora* dobrze, wiedział, że lubi hałasować, ale się z tem już obył. Stał więc wsparty o rękojeść żelaznej szufli, z odkrytą głową, uśmiechając się pogodnie, pewny, że tym razem ominie go burza, bo stary Kurzbach, nasapawszy się dowoli, zabierał się już do wyjścia.

Nagle stanął na progu, przez który wiodła kolejka, przeprowadzona dla dowożenia węgla, pod kotły.

Przy relsach leżało rozsypane kilka niewielkich grudek węgla. Prawdopodobnie wypadły z toczonego do kotłowni wózka.

Otto Kurzbach podniósł jedną z ziemi i odwróciwszy się impetycznie, huknął:

— Co to jest? *Du! du! Halunkel!*

— Proszę wielmożnego *dministratora...* — zaczął się tłumaczyć szpajzer, schylając się w ukłonie do kolan.

Horst zainterwenjował również, szepnąwszy kilka łagodzących wyrazów. Jeden z palaczy podbiegł i jął zbierać rozproszony węgiel.

Stary Kurzbach krzyczał w dalszym ciągu, doskakując z zaciśniętą pięścią do stojącego potulnie Smaka.

— *Verfluchter Schafskopf! Kanalie!*

— Panie *dministratorze*, na progu wózek podskoczył i spadło — bąknął Smak.

— Ha! spadło?... *Du alter Esel!* a od czego ty tu jesteś!? Ja ci dam! ja ci pokażę!

I uniósłszy się jeszcze bardziej, szturchnął kułakiem w zasmoloną pierś *szpajzera*.

Ten cofnął się instynktownie, wskutek czego trzymana szufla wysunęła mu się z rąk i padła z łoskotem na ziemię. Kurzbachowi wydało się, że robotnik rzucił ją z gniewu.

Ze strasznym krzykiem przekleństw sunął za Smakiem. I znów pięść niemiecka spoczęła na wypracowanym grzbiecie polskiego chłopa.

Ten, umknąwszy w kąt kotłowni, zastawiał się od uderzeń rękoma, wołając:

— Ja nic nie winion, wielmozny panie! Za co mię pon bije?... Wielmozny panie!

W pogodnych, zaklęsłych źrenicach Maćka błysnęło rozżalenie i gniewne poczucie doznawanej krzywdy. Rozprostował się, sięgnął po upuszczoną szuflę.

Widząc to Horst, który dotychczas mitygował uniesienie ojca, odciągnął go teraz na bok i sam wystąpiwszy naprzód, wrzasnął:

— Ty łotrze! śmiesz się jeszcze stawiać hardo! Precz! Precz! Wynoś się z fabryki na cztery wiatry, zuchwalcze!

Smakowi ręce opadły.

Stary Kurzbach zawtórował:

— Fort! fort!

— Panie dyrektorze! ja nic nie winien jęknął *szpajzer*, zwracając się do młodego Kurzbacha.

— Poszedł precz! — brzmiał groźny rozkaz.

— Panie dyrektorze! Wielmożni państwo! Ja stary... tyle lat... od dziecka w fabryce robię — skamlał złamanym głosem Smak, któremu groźba postradania zarobku kazała zapomnieć o doznanej krzywdzie. — Wielmożni państwo, darujcie! — prosił, obejmując kolejno nogi obu Kurzbachów.

Horst miękł. Spojrzał pytająco na ojca, chcąc niejako wstawić się za szlochającym robotnikiem.

— Naznaczyć mu *karę* — poddał na ucho.

Ale stary Kurzbach perzył się w dalszym ciągu.

— Za bramę z nim! *fort! fort!* Precz! Precz! *galgan, łajdak!* — wymyślał już po polsku, odtrącając od nóg słaniającego się *szpajzera.*

— Horst! — zwrócił się do syna — zapisać nazwisko tego łotra u szwajcara. Żeby mi tu więcej jego noga nie postała! — Poszedł precz! zaraz! niech na ciebie nie patrzę! — krzyknął, wymachując rękami nad zgiętym w pałąk Smakiem...

Temu w piersiach zatkało, przestał prosić. Stał jeszcze chwilę, łzawym wzrokiem wodząc po towarzyszach pracy, po dyszących żarem otworach pieców... Wreszcie przesunął dłonią po pobladłej twarzy, z ust wybiegł mu półchichot dziki, pół-westchnienie. Podał najbliżej stojącemu palaczowi trzymaną szuflę...

— Naści Michał... — wyrzekł z trudnością. — Jak iść, to iść... Ostajta z Bogiem... ludzie...

Obejrzał się raz jeszcze wokół i chwiejnym krokiem wyszedł, stukając drewnianą podeszwą trepów.

— *Halunkel* — warknął za odchodzącym Otto Kurzbach i popatrzył na syna z przechwałką okazanej energji.

Oblicze Horsta pokrywało się zwolna niezadowoleniem i niesmakiem. Pierwszy wyszedł z kotłowni.

Tegoż wieczora na czarnej tablicy, zawieszonej w budce fabrycznego szwajcara, widniało między robotnikami wydalonymi z fabryki nazwisko starego szpajzera. Niemiecki porządek i ścisłość objaśniały w wypisanym rysopisie: „*Maciej Smak* lat 60, wysoki, chudy, łysy, z oparzelizną na lewej nodze. Pracował w kotłowni. Wypędzony z fabryki za niedozór i zuchwalstwo“.

Idący rankiem do fabryki na dzienną „zmianę“ robotnicy przystawali pod tablicą, kiwając smutnie głowami.

— Szkoda Maćka! Dziecek kupa... zięcia mu do wojska wzięli... kobieta słabuje... Cóż teraz chudzina pocznie ze sobą?...

W kotłowni przy *szpajz-pompie* stał na miejscu Maćka *Johann Kuntze*, brat dozorcy z nalewarni.

VII.

Horst Kurzbach wrócił z Brzostową dość zadowolony, chociaż główny cel wizyty chybił.

Pan Bruzdowicz przyjął gościa grzecznie, ale zimno. Na zaproszenie odpowiedział odmową, dla konwenansu żałując, że zbieg okoliczności nie pozwoli mu uczestniczyć w tak miłem zebraniu. Tłumaczył się raz — słabością zdrowia, powtóre — że w tymże dniu z racji zjazdu familijnego również u siebie zabawę zapowiedział. Było dość jasnem, że poprostu szuka grzecznego pretekstu do uchylenia się od zaprosin.

Młody Kurzbach, który zresztą czegoś podobnego się spodziewał, nie nacierał więcej, wyraziwszy jedynie żal w swojem i ojca imieniu, że ich zaszczyt podejmowania tak miłych gości ominie. Następnie pan gospodarz wszczął rozmowę na temat podwyższenia ceny buraków, nadmieniając, że on ze swojej strony przystałby może na proponowane przez fabrykę wynagrodzenia, musi jednakże zasięgnąć zdania sąsiadów, z którymi związał się słowem, poczem dopiero może na uprzejmy list pana administratora stanowczą dać odpowiedź.

Takie postawienie kwestji było zręcznem sparowaniem cięcia, wymierzonego w celu rozbicia solidarności plantatorów. I pod tym przeto względem spotkał Kurzbachów zawód.

Pomimo to gość nie zdradził niezadowolenia, starając się zjednać Bruzdowicza potakiwaniem jego poglądom i pochwałami dla gospodarstwa brzostowskiego, które jak mówił, nawet zagranicą mogłoby za wzór służyć, czem istotnie ujął starego szlachcica.

Bruzdowicz zatrzymał gościa na obiad, zaprezentowawszy go córce.

Wanda zrobiła na młodym Kurzbachu nader miłe wrażenie. Wprawdzie projekty ojca nie powstały mu nawet w głowie, niemniej rad był bardzo z poznania panny Bruzdowicz, o której wiedział, że jest przyjaciółką od serca panny Wali. Jakoż silił się na wyszukaną uprzejmość i szarmanterję, dokładając wszelkich starań, aby się zarówno z powierzchowności, jak i z wygłaszanych zapatrywań z jaknajlepszej strony przedstawić. O Olszyńskim wyrażał się z wielkiem uznaniem, jako o człowieku niezwykłych zdolności i najzacniejszego charakteru. Dał nawet mimochodem do zrozumienia, że tylko ulegając woli ojca, objął posadę dyrektora. Z kolei obsypywał pochwałami panią Olszyńską, jako matronę rzadkich cnót, o Wali zaś powiedział wprost, że zalicza ją do piękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkał. Nie powiedział „najpiękniejszych“, wiedząc, że taka rezerwa w przymiotach bywa zazwyczaj przez słuchaczki dobrze widzianą, jednakże porównywując w myśli urodę panny Olszyńskiej i siedzącą obok niego Bruzdowiczównę, przyznawał Wali pierwszeństwo.

Gustował przedewszystkiem w blondynkach, jaśniejących wdziękiem wiochnach, w uśmiech oprawnych oczach.

— To nie mój typ — myślał, spoglądając na Wandę. — Daleko jej do tamtej!

Niemniej jednak uznawał, że gdyby tamtej nie

było, to kto wie, czy idąc za radą ojca, nie pokusiłby się o zaskarbienie względów tej drugiej, choćby dla wypłatania figla Olszyńskiemu.

Ale tamta przyciągała go stokroć silniej, więc przestał w końcu o tem myśleć, ograniczając się jedynie na pozyskaniu w osobie panny Bruzdowicz sprzymierzeńca.

I to mu się w zupełności udało. Wzamian za pochwalne przekonanie o Olszyńskim, dowiedział się niebawem z ust Wandy, że i ona o nim „wiele dobrego słyszała...“

Nie potrzebował się domyślać od kogo, gdyż panna Bruzdowicz zaakcentowała to „słyszenie“ i to „dobre“ tak znacząco, że równało się ono wyraźnemu powiedzeniu: „mówiła mi Wala...“

Dla Horsta była to nader pożądana wiadomość. W powszednim napozór komplemencie mieściła się nadzieja powodzenia jego planów. W dodatku i gospodarz zdawał się odstępować od pierwotnego uprzedzenia, coraz serdeczniej i poufalej traktując gościa. Horst słyszał najwyraźniej, jak pocichu szepnął do pani Eufemji, że „ten z innego widać, szlachetniejszego drzewa, niż ojciec“, ta zaś odpowiedziała równie pochlebną dla gościa uwagą: „bardzo miły młody człowiek...“

Mający na wszystko baczenie, Kurzbach, wiedząc, że pierwsze lody przełamane, z umysłu przedłużył wizytę.

Odjechano dopiero wieczorem, zapewniając na odjezdnem o swym wysokim dla całego domu szacunku.

Wrócił zadowolony, a co więcej, przekonany, że z czasem uda mu się Bruzdowicza w zupełności ułagodzić, innemi słowy: zaciętego wroga rozbroić! Z taką relacją podążył i do ojca, który z początku zaczął się rzucać i odgrażać w końcu jednak przyznał synowi i pod tym względem rację. Wogóle Otto Kurzbach przed zbliżającą się uroczystością zrobił się nader skłonnym do ustępstw. Nawet Olszyńskiego przy spotkaniu witał uprzejmie.

Nadszedł nareszcie ów dzień oczekiwany.

Właściwy obchód, który razem z balem miał się odbyć wieczorem, poprzedziło składanie życzeń i doręczenie pamiątkowego upominku. Było nim ozdobne album z fotografjami wszystkich pracowników, oraz olbrzymi kryształowy puhar ze srebrną pokrywą, artystycznie cyzelowaną. Wierzch pokrywy zdobił posążek Germanji z podniesionym w górę mieczem, na którego klindze błyszczała wyzłocona data jubileuszu.

W godzinach porannych zebrali się w sali kantoru wszyscy oficjaliści. Przewodniczył główny buchalter fabryki, który, powitawszy jubilata odpowiednią przemową, zakończył gromkiem: *Hoh! Es lebe!*

Otto Kurzbach dziękował rozczulony. Kiedy zaś wręczono mu podarunek, początkowo wzdragał się go przyjąć, wreszcie napełniwszy ofiarowany mu kielich ulubionem „*Mosel*“, wypił na podziękowanie za pamięć i objawy uznania. Kryształowy puhar szedł z rąk do rąk.

Ostatecznie zabawa ze względu na zajęcie fabryczne musiała być przerwaną.

Wieczorem dopiero zajaśniały rzęsiście oświetlone salony fabrycznej administracji. Wśród zawieszonych różnokolorowych lampjonów na froncie budynku błyszczały okolone wieńcem zieleni cyfry jubilata.

Goście zaczęli się zjeżdżać, a raczej schodzić, gdyż okolica nie dopisała. Gżycki kręcił się, jak mucha w ukropie. Był niespokojny bardzo, Przez kilka dni poprzedzające uroczystość jeździł po dworach ziemiańskich, namawiając, kusząc przeróżnemi obietnicami. Tu i owdzie otrzymywał wręcz odmowną odpowiedź, kilkunastu jednak plantatorów, bardziej zaangażowanych w zaliczkę, przyjęło zaproszenie, przyrzekłszy przybyć na bal z rodzinami. Ostatecznie

i z liczby tych nie stawiło się wielu, nadsyłając wzamian bardzo grzeczne listy z powinszowaniem.

Odciągnęło ich równoczesne przyjęcie w Brzostowie. Gżycki, w ostatniej chwili dowiedziawszy się od Horsta o zjeździe u Bruzdowicza, przeczuwał, że tak się stanie, ale rady już nie znajdował.

Mimo to zebrało się kilkadziesiąt osób, bo oficjaliści cukrowni wystąpili gremjalnie z żonami i córkami. Nadjechało również kilku obywateli, a między innemi Wyręba z żoną, która łącznie z panią Olszyńską miała pełnić honory gospodyni balu.

Około godziny dziewiątej salony poczęły się zapełniać. W przedsionku pałacyku witał przybyłych Horst Kurzbach, dziękując w imieniu ojca za łaskawe względy. Ściskał się kordjalnie z mężczyznami i wiódł do pobocznego pokoiku na „zagrzewkę". Pomagał mu jeden z przybyłych świeżo z Brunświku praktykantów, Karol Hofferman, przystojny, dwudziestoletni niemczyk, i Gżycki. Ten szastał się na wszystkie strony, szepcząc każdemu na ucho o świetności przyjęcia i zabawy.

Olszyński towarzyszył siostrze i matce, które łącznie z panią Wyrębiną zajęły się damami.

Słodowski, który przybył jednocześnie z Olszyńskimi, asystował przez chwilę cudownie wyglądającej w balowym stroju Wali, w końcu jednak, gdy z przybyciem kilkunastu osób zrobiło się około panny Olszyńskiej tłoczniej, zaszył się w kąt salonu i patrzył, przygryzając wąsa, z miną człowieka, któryby rad uciekł w jednej chwili. Był nieswój. Zawadzał mu frak, który rzadko kiedy przywdziewał, gniotły nowe lakierki, drażnił krochmalny gors koszuli, a białe rękawiczki ciążyły jak kajdany.

Rozłożywszy palce, opuścił sztywno obie ręce na dół i stojąc w takiej pozycji, mruczał:

— Wygląda człowiek jak małpa w tem chomącie. Ruszać się ciężko.

Popatrzył na animującego panie Olszyńskiego.

— Ot ten, jakby się we fraku rodził. Co tu gadać! chłop chłopem! drąg drągiem!...

Zasępił się, westchnął. Przypomniał sobie właśnie o przyobiecanym pannie Olszyńskiej walcu... Nie oddałby tego tańca za świat cały, za drugie życie, a jednak na myśl, że ta upajająca dlań chwila się zbliża, ogarniał go w wysokim stopniu niepokój i zakłopotanie. tańczyć wogóle nie umiał... ą jeszcze z nią! z nią! Wprawdzie przez kilka wieczorów z rzędu, zapuściwszy szczelnie rolety w swym pokoju, uczył się z nabytego podręcznika przeróżnych *pas*, skakał, podrygał, pogwizdując walcową melodję, i zdawało mu się, iż się o tyle wyuczył, że ostatecznie nie pokpi sprawy. Teraz jednak uczuł, że nauka poszła w kąt, że mu nogi już kołczeją, a cały organizm chwyta jakiś zalęk obezwładniający.

I zaklął w duchu:

— A bodaj to djabli wzięli!

Tymczasem do sali wchodził Otto Kurzbach, prowadzony pod ręce przez pana Wyrembę i buchaltera. Kłaniał się na wszystkie strony, dziękując łamaną polszczyzną za życzenia, jakie mu ponownie składano. Twarz miał rozrzewnioną, dłonią raz po raz dotykał serca.

Usadowieni na podwyższeniu muzykanci zagrali fanfarę. Jubilat podał ramię pani Wyrembinie, mąż tejże, pani Olszyńskiej, reszta mężczyzn również ruszyła ku paniom.

Czatujący w pobliżu Gżycki, skinął na muzykę. Rozległy się dźwięki posuwistego poloneza.

W tej chwili Horst Kurzbach, podskoczywszy do okna, wziął ukryty za firanką bukiet i przecisnąwszy się szybko do Wali, podał jej kwiaty, równocześnie podsuwając ramię.

Panna Olszyńska zapłonęła, skurczyła alabastro-

wą szyjkę, poczem wolną ręką podsunęła bukiet pod sam nosek i z porywającym wdziękiem szepnęła:

— Dziękuję! Prześliczny!

Gorący jej oddech zmieszał się z wonią parmeńskich fijołków i musnął rozpromienioną twarz towarzysza.

W tym krew grała tak silnie, że, nie licząc się z niczem, pochylił się nad trzymanym przez pannę Olszyńską bukietem i dotknął lepkiemi wargami kwiecia, w miejscu, gdzie przed chwilą jej spoczywały usta.

Wykonał zaś to zręcznie i szybko. Wala instyktownie odsunęła bukiet. Dreszcz rozkoszny przebiegł pierś dziewczęcia. Zasłoniła długą rzęsą pełne niepochwytnych blasków źrenice i jakby nagłą trwogą objęta, przegięła kibić w tył.

Horst zauważył ten ruch lękliwy, rzucił okiem na sunące za nimi pary. Spotkał się z wlepionym w siebie wzrokiem kroczącego samopas, na końcu tanecznego węża, Słodowskiego.

W pierwszej chwili wydało się Horstowi, że chemik go śledzi. Lecz niebawem zaczął się śmiać z tego podejrzenia. Wprawdzie siwe źrenice Słodowskiego patrzyły uporczywie w jego stronę, ale nie było w nich nic, prócz jakiegoś bezmyślnego zakłopotania, dającego się łatwo wytłómaczyć nieobyciem towarzyskiem.

Tak też w końcu pojął je młody Kurzbach i, pokrywając przytomnością umysłu chwilowe zaniepokojenie, przemówił tonem zupełnie swobodnym, ukazując oczyma na idącego przed nim pana Wyrembę, który zamaszyście wiódł w polonezie panią Olszyńską:

— Zazdroszczę państwu tego tańca. Dla mnie jest on tak trudny, że się go chyba nigdy nie nauczę. A chciałbym...

— Ja wolę walca — przerwała szeptem Wala.

— Walca...? pani woli walca!

Skinęła wdzięcznie głową. Horst po małej przerwie rzekł z entuzjazmem:

— To taniec par zakochanych! Wzlot w upojeniu!

A potem dodał prosząco:

— Czy mogę prosić panią o zaszczyt ofiarowania mi pierwszego tour'a...?

Podniosła nań oczy i spojrzała całą pełnią błyszczących w siatkówce światełek. Figlarny uśmiech przebiegł po rozchylonych malinowych wargach i osiadł na zaróżowionej twarzy.

— Pierwszego zamówił pan Słodowski — chichotnęła raczej niż odrzekła.

On poszukał wzrokiem Słodowskiego. Niezgrabna postać chemika wydała mu się tak śmieszną, że nie krępując się, zagadnął wśród wybuchów szczerego śmiechu:

— Pan Słodowski! Ależ on, o ile sobie przypominam, nie tańczy całkiem. Nawet niepodobna wyobrazić sobie poczciwego pana Stanisława tańczącym...

— A jednak mnie spotkało to wyjątkowe szczęście — wtrąciła z lekkim sarkazmem.

— Gotów jestem wyprosić u chemika ustępstwo!— podchwycił żywo. Oczywiste niebezpieczeństwo! Na to pozwolić nie mogę. Te koronkowe falbanki — dodał, wodząc oczyma po balowej tualecie Wali — domagają się mej interwencji.

Ujął silniej jej rękę i jakby domagając się pozwolenia, ponowił zapytanie:

— Proszę o pierwszego walca... Pan Słodowski ustąpi, lub wymożemy na nim zrzeczenie — dokończył z pogróżką.

— O nie! nie! — zaprzeczyła pośpiesznie. — Niech pan tego nie robi. Jasiowi byłoby przykro... a i mnie — napomknęła nieśmiało.

Właśnie wchodzili do drugiej sali, gdzie już około zastawionego do kolacji stołu grupowali się goście, zajmując przeznaczone dla siebie krzesła i znaleźli

się w pobliżu prowadzącego pannę Helenę Wyrembiankę Jana.

Horst, który miał już na końcu języka natarczywe „dlaczego“, uciął. Podsunął krzesło Wali i sam zajął obok niej miejsce. Dopiero podczas jedzenia, upatrzywszy stosowną chwilę, nawiązał przerwaną rozmowę. Wytłómaczyła mu się teraz jaśniej, opowiedziawszy otwarcie, że to ona sama skusiła Słodowskiego do tańca.

— Ha! jeśli tak, nie pozostaje mi nic innego, jak błagać o następstwo po Słodowskim — odrzekł, wyciągając rękę po zawieszony przy wachlarzu, na złoconej plecionce, karnecik.

Wziął w atłas oprawną książeczkę i nie czekając na zezwolenie, wpisał swe nazwisko. Co uskuteczniwszy, rzekł z naciskiem:

— Dla mnie będzie to pierwszy walc. Tymczasem będę się bawił w widza i podziwiał grację szczęśliwego dansera.

Jakoż demonstracyjnie dotrzymał słowa. Z chwilą rozpoczęcia tańców, wsparty o odrzwia salonu, czekał, nie posuwając się do żadnej z panien.

Muzyka zagrała Strausowskiego walca. Młodzież ruszyła do danserek. Pierwszy wyrwał się młody Hofferman z córką buchaltera, za nim inni. Słodowski, który po skończeniu kolacji kręcił się w pobliżu panny Olszyńskiej, przeżegnał się teraz i z determinacją zbliżył ku niej.

— Myślałam, że pan zapomniał — odezwała się, z wysiłkiem powstrzymując się od śmiechu.

Słodowskiemu załomotało w piersiach, dech zaparło. Niewysłowiona błogość oblała mu duszę i zmysły. Stał przed Walą w kornej, wyczekującej postawie, nic nie widząc i nic nie słysząc. W oczach migotały mu jakieś barwiste płatki, w głowie szumiały srebrne dźwięki jej mowy, z serca poszybowała po całym organizmie krew gorąca. Nie był w stanie zdo-

być się na jakąkolwiek odpowiedź, tylko bił ukłon za ukłonem, czerwieniąc się, to blednąc naprzemian.

Wreszcie, jakby magnetyczną siłą pchnięty, podał się naprzód, objął kibić panny Olszyńskiej, zgiął lewą nogę w kolanie i wykonał kilka ruchów w tył i naprzód. Było w tem rozmachu coś rozpaczliwego i śmiesznego zarazem. Starał się wpaść w takt, nie mógł, a zapalał się coraz bardziej. Wala dusiła się od śmiechu.

Nakoniec po wielu niefortunnych próbach udało się Słodowskiemu posunąć w należytem tempie. Wmieszał się w wirujące pary... Początkowo szło dość gładko. Słodowski z biciem serca rachował w myśli: raz... dwa... trzy... — i z pewną dumą zawijał wkoło. Wala, tańcząc znakomicie, dopomagała mu o ile mogła, powstrzymując w porę, zwłaszcza, że w kole tanecznem robiło się coraz cieśniej.

Przepłynęli tak szczęśliwie połowę sali, gdy nagle tańczący przodem Hofferman zaczął balansować, zatrzymując tańczące za sobą pary. Wala targnęła silniej ramię tancerza, wykonywując ruch wsteczny, ale nim rozmachany Słodowski zdołał odczuć ostrzeżenie, wpadł już potężnemi barami na pana Wyrembę i sam się od silnego potrącenia zatoczył. Zerwał się wprawdzie zaraz szybko, jak koń do skoku, ale tymczasem tańczący zawrócili w przeciwnym kierunku, rozgrodziwszy go z tancerką.

Przecisnął się gwałtownie z desperackim zamiarem dokończenia przerwanego tańca i znów ująwszy w pół danserkę, puścił się za innymi. Ale teraz nie szło mu już zupełnie. Z trudnością dobił do zajmowanego poprzednio przez pannę Olszyńską miejsca. Wysunęła mu się z ramion.

— Dziękuję, zmęczyłam się — szepnęła, padając na krzesło. Przysłoniła całą twarz wachlarzem, wachlując się dla niepoznaki. Zabawił ją nieudatny taniec. Śmiech szczery wydzierał się na usta. Tłumiła

go przez wzgląd na Słodowskiego, który ze wzrokiem, utkwionym w podłogę, przywarłszy oburącz do poręczy krzesła, zdawał się prosić przebaczenia.

Pomimo całej trzpiotowatości, zrobiło się jej żal tego niezgrabiasza. Wszakże na śmieszność narażał się tylko dla niej.

Dotknęła z lekka wachlarzem ręki jego i przechylając się tak, że jej oczy spotkały się z opuszczonym w dół wzrokiem chemika, szepnęła:

— A widzi pan, że to nic tak dalece trudnego. Drugim razem pójdzie jeszcze lepiej.

Uśmiechnął się smutnie, dłonią po czole przesunął i zniżając głos, odrzekł z westchnieniem:

— Nie mnie brać się do takich rzeczy. Spisałem się jak przysłowiowy Grabski... Trudna rada! Wstydzi mię tylko dobroć pani... Poco było takiego niedźwiedzia wyciągać...?

— Niechże się pan sam nie obmawia — wtrąciła.

— Wstyd! wstyd! wstyd! — powtórzył. — Ale doprawdy robiłem, co mogłem, bo jabym wszystko... jabym każde życzenie pani...

Chlipnął wargami, urywając i nie dokończywszy zaczętego zdania, odszedł zwolna. Po chwili wmieszał się w tłum mężczyzn, znajdujących się w sąsiednim pokoju.

Wala odprowadziła go zadziwionym wzrokiem. Ostatnie słowa chemika wydały się jej niespodziewanem zwierzeniem tajonych usilnie uczuć. Zakłopotała się, zalękła prawie. Czyżby? Wstrząsnął nią dreszcz obawy. Dotychczas nie zastanawiała się nigdy nad tem, życzliwe zachowanie się Słodowskiego przypisując przyjaźni z bratem. Teraz głos wewnętrzny jął rozsnuwać w jej duszy myśli inne, pobudki bardziej prawdziwe.

I nie zdając sobie sprawy dlaczego, uczuła w piersiach trwogę i przykrość. Miałżeby ten Słodowski...?

przeleciało jej błyskawicą przez rozkołysaną zabawą główkę. Zaczęła przeczyć sama sobie, opędzać się niepożądanemu odkryciu.

Chmura zadumy pokryła czoło panny Olszyńskiej.

Nie czuła się winną, a jednak było jej nieprzyjemnie. Nie mogła odpędzić przykrych myśli. Płynęły one w bezładzie, ale płynęły.

Wsparła ożywioną przed chwilą twarzyczkę na drgającej nerwowo dłoni.

Wtem doleciał jej ucha głos z boku:

— Budzę panią i przepraszam za przerwanie snów różowych.

Przy krześle stał Horst Kurzbach, łowiąc zadumaną postać Wali roziskrzonem spojrzeniem.

Podsunął się bliżej.

— Czy wolno panią teraz prosić? — przypomniał, skłaniając głowę.

Z oblicza panny Olszyńskiej momentalnie pierzchnął wyraz niesmaku. Uniosła się szybko z miejsca i wspięta na palcach, wysunęła ku niemu śnieżnej białości utoczoną rączkę. Pochwycił ją jak mógł najprędzej i oplótł ramieniem. Oczy ich spotkały się kilkakrotnie... i młody dyrektor puścił się w taniec z siostrą podwładnego oficjalisty.

Tańczył zwinnie, lekko, ale teraz przeszedł samego siebie. Kończynami stóp zaledwie dotykając posadzki, niósł tancerkę prawie w powietrzu, pierś przy piersi. Rzekłbyś, symbol uścisku wichrem namiętności w ruch wprowadzony. Mijał, okrążał pary za parami, wykonywując zwroty z tą niewymuszoną elastycznością, która znakomitego tancerza znamionuje.

W gronie pań starszych, przyglądających się tańcom, dały się słyszeć pełne podziwu wykrzykniki, nawet mężczyźni powybiegali z drugiej sali i zaczęli się przyglądać. Pani Olszyńska odbierała ze wszech stron

powinszowania i pochwały. Unoszono się nad urodą Wali, nad jej gracją i zręcznością.

W staruszce serce rosło. Nie odrywając oczu od wirującej pary, dziękowała uprzejmym ukłonem. Rozradowanie tamowało jej mowę. Szept pochwalny wzrastał, a i w kole tanecznem par przybywało. Przykład dyrektora zachęcił ociężalszych. Wśród tańczących znalazł się i Jan Olszyński z jedną z panien z sąsiedztwa. Tylko Słodowskiego, który osowiały siedział w drugim pokoju pod piecem, brakowało. Nikt na to jednak nie zwrócił uwagi, a najmniej Wala. Rozkołysana tańcem, upojona wzruszeniem, dziewczyna płynęła po sali u boku swego tancerza, słuchając rzucanych bezustannie słów, jakie z dyszących płomieniem gorączkowego porywu ust młodego Kurzbacha wybiegały.

— Pół życia! całe! — szeptał wpijając się namiętnem okiem w jej pierś falującą — dałbym, byle dzień dzisiejszy stał się dla mnie zadatkiem trwałej z szanownem państwem przyjaźni. Mnie tu tak obco, tak cudzo... Nie wyobrażam sobie prawdziwego szczęścia bez tej trochy serdecznego ciepła, bez promyka ludzkiej życzliwości... I chciałbym ją sobie tu wśród... wśród państwa zaskarbić. To moje najszczersze życzenie, któremu wszystkie siły poświęcę!

W słowa te wlewał zaklęcia i westchnienia, to znów użalał się i trwożył, że jego usiłowania nie odniosą pożądanego skutku, dając dość wyraźnie do zrozumienia, że nawet z własnym ojcem musi staczać walkę.

Dla podnieconej tańcem Wali owe szepty i zwierzenia były rajską, upragnioną melodją. W pełnym zamętu kołowrocie myśli, chłonęła każdy wyraz duszą, odpowiadając roznamiętnionym wzrokiem, w którym jaśniały teraz bezgraniczny zachwyt i ufność bez granic.

Przetańczyli już kilka razy dokoła. Wala nie czuła najmniejszego zmęczenia. Tylko coraz gorętszy rumieniec rozpływał się karminem po jej obliczu, tylko główką przylegała coraz to bardziej do obejmującego jej kibić ramienia, tak, że rozsypujący się w lokach włos płowy muskał w przelocie rozpromienioną twarz Horsta.

A było obojgu w tym szale tanecznego upojenia naprawdę ładnie i naprawdę dobrze.

Tymczasem, w gronie przyglądających się tańcom widzów ukazał się stary Kurzbach w nieodstępnem towarzystwie buchaltera i Giżyckiego, którzy mu dotąd przy kieliszku dotrzymywali placu. Rozstąpiono mu się, robiąc miejsce. Podpił już. Oczy mu się szkliły, rozlana twarz świeciła wesołością i zadowoleniem. Ujrzawszy tańczącego syna, jął przytupywać w takt i nucić pod nosem.

Nagle spytał:

— Co to za panna, z którą Horst tańczy?

Pytanie było zwrócone do Giżyckiego, ale uprzedził go buchalter, odpowiadając:

— Siostra wice-dyrektora... Olszyńska...

Otto Kurzbach zmarszczył brew, pokręcił głową, potem przyjrzawszy się pląsającej Wali jeszcze bardziej, wycedził przez zęby:

— *Schönes Mädel!*

I jakby sobie o czemś przypomniał, stuknął palcem w zapocone czoło, mówiąc:

— *Aha! Da liegt der Hund begraben!*

Zaraz też, spostrzegłszy, że muzyka cichnie, ruszył w drugi koniec sali ku miejscu, gdzie się Horst z panną Olszyńską zatrzymał. Miał minę człowieka, który odkrył nareszcie długo śledzoną tajemnicę i rad był z tego niepomiernie. Uśmiechał się znacząco i szedł prosto ku stojącemu przy boku Wali synowi.

Ten, dojrzawszy ojca, postąpił krok naprzód, jakby go zamierzał uprzedzić. Ale stary dał znak ręką i nie doszedłszy jeszcze, zaczął, kłaniając się pannie

Olszyńskiej, wygłaszać po polsku jakiś komplement. Brakło mu jednak słów, więc dokończył po niemiecku i zwracając się do syna, rzekł:

— Przetłumacz...

Horst skwapliwie wypełnił zlecenie, tłumacząc:

— Ojciec wyraża swój podziw. Dawno tak świetnie tańczonego walca nie widział...

— *Ja wohl! ja wohl!* — potwierdził stary Kurzbach, ponawiając ukłon.

Pannę Olszyńską okrył pons. Dziewczęcia pierś wznosiła się i opadała szybko, w oczach zaświeciła jakaś nieokreślona chęć, jakieś niewyraźne żądanie i gorączkowy niepokój. Niemniej Horst, skrzyżowawszy z ojcem wejrzenie, starał się dociec, co właściwie było pobudką tej niezwykłej szarmanterji starego. Uczuwał niejaką obawę. Przenikliwy wzrok ojca nie pozwalał na żadną wątpliwość.

— Stary domacał się prawdy — pomyślał i dla uniknięcia dorywczych wyjaśnień, skłonił się Wali, zamierzając odejść.

Ale ku wielkiemu jego zdziwieniu, Otto Kurzbach, który przez cały czas nie spuszczał z Wali oka, nabierając coraz dobrotliwszego wyrazu twarzy, zagrodził mu drogę i klepnąwszy go zlekka w ramię, szepnął:

— Zostań! ty masz dobry gust, Horst! — Sam odszedł zaraz, dając tem do zrozumienia, że synowi bynajmniej przeszkadzać nie myśli.

Jakoż ani razu nie zbliżył się do asystującego wytrwale pannie Olszyńskiej Horsta, natomiast kilkakrotnie podchodził do pani Olszyńskiej i z ożywieniem z nią rozmawiał, o ile mu na to znajomość języka pozwalała. Co więcej, dostrzegłszy stojącego na uboczu Jana, który po przetańczeniu walca już więcej w tańcach nie brał udziału, jął go w wyszukanych słowach do dalszej zabawy zachęcać.

Zwróciło to powszechną uwagę, wywołując nawet cierpkie uwagi ze strony obruszonych za te wyróżniającą dla Olszyńskich uprzejmość administratora, państwa Knotzów, którzy wykosztowawszy się na balowe toalety dla dwóch córek, dość przystojnych blondynek, daremnie na „coś podobnego" przez cały wieczór wyczekiwali.

Olszyńskiego również zastanowiło zachowanie się administratora i wyjątkowe względy. Przyjął je też z nieufnością. Nagabnięty, odpowiadał jakąś zdawkową grzecznością, uśmiechem, nareszcie uwolniwszy się od towarzystwa starego Kurzbacha, usunął się do drugiego pokoju, aby się znaleźć najdalej od tanecznej wrzawy. Czuł się znużonym, a raczej przygnębionym na duchu. Wszystko, na co patrzył, raziło go niemiłosiernie. Ten zapał nieszczery, ta napuszona pompa zabawy, ta granicząca z rubasznością „*Gemütlichkeit*" rozochoconych biesiadników napawały go niewymownym wstrętem.

Przyszedł tu dla matki, dla siostry, pogwałciwszy własne przekonania, i radby był uciec każdej chwili; nie wypadało mu jednak zostawić samych kobiet. Z konieczności przeto postanowił wytrwać do końca.

Tymczasem bawiono się ochoczo. Siedzącego na framudze okna Olszyńskiego dolatywał coraz weselszy pogwar. Niekiedy zdawało mu się, że wśród zamieszanych odgłosów rozróżnia dźwięczny śmiech Wali... Wtedy mimowolnie chmurzył czoło, nie zdając sobie wyraźnej sprawy, dlaczego. Wprawdzie zauważył, że młody Kurzbach nazbyt obcesowo towarzyszy Wali, ale ujemnych przypuszczeń z tego nie wyciągał. Nie podobało mu się poprostu. Wolałby był widzieć przy niej Słodowskiego. Zresztą nie zastanawiał się nad tem głębiej, odbiegając co chwila myślą gdzieindziej.

Otworzył lufcik, wychylił głowę dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Na dworze robiło się już jasno. Świt wstawał. Nieopodal, o jakie sto kroków od pałacyku, huczała zamknięta w kamiennym kolosie

praca, a dalej hen! na widnokręgu pobłyskiwały pojedyńczo nikłe światełka. W chatach okolicznych wiosek gotowano poranny posiłek.

Zapatrzył się, zamyślił.

Wtem usłyszał za plecami głos Słodowskiego:

— A to się ładnie bawicie!

— Głowa mnie nieco boli — odpowiedział, odwracając się, — A wy? — spytał.

— Et! — odrzekł krótko zapytany, machnąwszy ręką. — Chwała Bogu, że już świta...

Zamienili spojrzenia.

— Wiecie co? Przejdźmy się trochę po podwórzu. Wrócimy za jakie pół godziny, może się to już skończy.

Wyszli, z przyzwyczajenia kierując się ku fabryce. Po drodze spotykali gromadki robotników. Jedni szli na dzienną zmianę, drudzy śpieszyli po nocnej pracy do domów. Przy kanale, odprowadzającym wody odciekowe, stało kilka dziewcząt, myjąc bose nogi. W cukrowni rozbrzmiewało rozkazujące nawoływanie dozorców, stuk puszczanych w ruch maszyn, sapanie pomp i odgłos spadających z elewatora na krajalnice buraków.

Słodowski spojrzał na zegarek.

— Szósta. Akurat zmiana. Zajdźmy do środka — przemówił.

Olszyński zawahał się. W balowem ubraniu, we fraku, nie bardzo wypadało pokazywać się robotnikom.

Nagle straszny krzyk rozdarł powietrze, krzyk pełen grozy i przerażenia.

Kilku robotników, odbiegłszy maszyn, popędziło czeredą ku skrzydłu, gdzie mieściła się kotłownia. Krzyk wzrastał, przeradzając się w chór rozpaczliwych głosów, któremu towarzyszyło głuche dudnienie, do odległych grzmotów podobne. Szyby w oknach poczęły drżeć, chrzęścić, wiązania trzeszczeć. Nad smołowcowym dachem kotłowni trysnął słup pary. Świstawki odezwały się przeszywającym gwizdem. Z murów zaczął opadać odrywany wstrząśnieniem tynk...

Olszyński drgnął, oczy wypełnił mu przestrach, instyktownie chwycił się za głowę i w całym pędzie rzucił się w stronę kotłowni. Słodowski, blady jak ściana, pobiegł za nim, krzycząc przeraźliwym głosem:

— Jezus Marja! kocioł!

Z kotłowni wszystkiemi otworami buchały kłęby gorącej, porywającej w przelocie pył i kurz, pary. Przez uchyloną wrotnię tłoczyli się gwałtownie palacze, wybiegając na zewnątrz z okrzykiem piekielnej trwogi. Niektórzy wyskakiwali niskiemi, sięgającemi fundamentów oknami, tłukąc szyby, kalecząc ręce, rozdzierając odzież. Gonił ich obłok syczącego waru, parząc boleśnie. We wnętrzu, dołem wirowały gęste tumany kurzawy miału węglowego, górą nad kotłami wył rozszalały strumień oparów, wypełniając całą przestrzeń nawałnicą wrzącej bieli. W rozżarzonych paszczękach palenisk łomotały wstrząsane konwulsyjnie ruszty. Sklepieniem szedł trzask kruszonych cegieł i chaotyczny łoskot uderzającego w mury żywiołu.

Pierzchający z okrzykiem grozy robotnicy, dojrzawszy nadchodzących, podnieśli lament.

— Co się stało? — krzyknął półzdrętwiały Słodowski.

— Kocioł... panie! — jęknął jeden z palaczy.

Słodowski zakrył twarz rękoma.

— Gdzie „*szpajzer*“? — huknął Olszyński, nie zatrzymując się w biegu.

Zdławione „tam... tam...“ wybiegło z kilku ust naraz i ręce wyciągnęły się w stronę dyszącej zniszczeniem otchłani.

— Rany boskie! — wrzasnął Słodowski.

Któraś z kobiet uderzyła w płacz straszny.

— I mój... i mój... tam został...! Reperował *pakunek*... Ludzie, ratujcie! Najświętsza Panieneczko!

I rozkrzyżowawszy ręce, padła na ziemię, tarzając się z rozpaczy i zawodząc w niebogłosy.

Olszyński, nie namyślając się dłużej, skoczył ku wiodącej pod piece bramie. Szarpnął z całej siły... Podwoje rozwarły się z hukiem...

Palący powiew zakotłował falą nad jego głową. Instyktownie cofnął się w tył.

— Chłopcy! wybić okna! — krzyknął gromko.

Schwycił z ziemi odłamek cegły. Rzucił w najbliższe. Za jego przykładem posypały się kamienie i gruz. Brzękły szyby. Przez wybite otwory poczęła szybować z poświstem nagromadzona w kotłowni para.

Rozległ się szum i siny tuman zawisł płachtą w powietrzu.

Olszyński sekund parę stał z wlepionym okiem w ziejące wrzątkiem odrzwia. Pomimo gorąca dygotał całem ciałem. Twarz i odzież wilżyła skraplająca się w powietrzu para. W kotłowni robiło się widniej.

Olszyński zacisnął ręce nerwowo, pochylił się naprzód i patrzył. Drgnął. Obejrzał się na Słodowskiego.

Ten biegał w niewielkiej odległości wzdłuż muru, wołając raz po raz:

— Rany boskie! rany boskie...!

Olszyński zatrzymał chwilę wzrok na chemiku. Odcień dobrotliwego uśmiechu przemknął mu po obliczu, w jednym rzucie przyskoczył do stojącej przy ścianie kadzi z wodą, zanurzył się z głową po pas i... runął do wnętrza budynku.

Okrzyk przerażenia wydarł się z wszystkich piersi. Trupio blady Słodowski zachwiał się na nogach. Powiódł wzrokiem raz jeszcze, jakby nie dowierzał własnym oczom.

W środku kotłowni rozbrzmiewał już donośny głos Jana:

— *Szpajzer! Szpajzer!* Pompę zatrzymać! pompę!

Równocześnie z ust Słodowskiego wybiegło głuche: „śmierć! śmierć!“ Zrobił znak krzyża, zagiął ręce nad głową i w całym pędzie rzucił się ku drzwiom kotłowni.

Ale w tym momencie legł twarzą na ziemi, odrzucony potężną siłą.

Słup pędzonego z kotłowni żaru zagrodził drogę.

Na mgnieniu oka zapanowała cisza... i nad kotłownią wzbił się potężny odłam wysadzonego z trzaskiem dachu i, niby olbrzymi latawiec, zakołysał w górze. Jednocześnie trysnęła sina kolumna pary, świszcząc, skowycząc, wyrzucając z rykiem poszarpane szczątki blach, żelaza i potłuczonych cegieł. Latawiec zawisł siłą rzutu w powietrzu na chwilę, zawirował, a potem runął w kierunku ukośnym; przelatując, uderzył kilkakrotnie w zrąb murów i zarył się rykoszetem w ziemię.

Teraz rozległ się stuk spadających na fabryczne skrzydła z wysokości odłamków.

Przykuci przerażeniem do miejsc, robotnicy zaczęli uciekać, wydając okrzyki panicznego strachu. Pierzchali na oślep, odbiegając jaknajdalej.

Rzucony o ziemię, Słodowski poczołgał na czworakach kroków kilka, poczem zerwawszy się na nogi, popędził przed siebie i dopiero po niejakim czasie ośmielił się zatrzymać.

Spojrzał osłupiałemi oczyma wokoło. Wyglądał strasznie. Twarz miał, jak kawał świeżego mięsa czerwoną. Do popryszczonej skóry przywarł kurz i miał ceglany.

Dotknął rękoma okaleczonych policzków. Ból przywrócił mu przytomność. Ogarnęła go rozpacz. Chciał krzyknąć, zawołać o pomoc, głos zamarł mu w krtani. Jeszcze raz powiódł wzrokiem. Kotłownia dymiła, huczała...

Słodowskiemu wydało się, że w tym głuszącym łoskocie słyszy ludzkie jęki. Zmógł się, dobył ostatnich

sił i począł biec, okrążając, ku lewemu skrzydłu fabryki. Przez myśl przeleciało mu błyskawicą, że wejściem przez buraczarnię może się przedostać pod kotły.

Tchu mu zaczynało brakować, twarz piekła, ale pędził z duszą, pełną błagalnego szeptu:

— Jezus Marja! Jezus Marja!

I rzeczywiście, od tej strony przystęp był wolny.

Kilku odważniejszych robotników, ujrzawszy pędzącego chemika, poszło w jego ślady, a równocześnie z administracji poczęli wybiegać pojedyńczo i grupami znajdujący się na zabawie goście.

Wstrząsający huk przedarł się, mimo dźwięków muzyki, na salony. W pierwszej chwili myślano, że to robotnicy urządzili jaką owację jubilatowi. Ale złudzenie nie trwało długo.

Pierwszy *maszynmajster* pojął, co się stało. Wybiegł do sieni. Jeden rzut oka starczył, aby się upewnić o strasznej prawdzie.

Była to właśnie chwila, w której zrozpaczony Słodowski śpieszył na ratunek Olszyńskiemu.

Maszynmajster puścił się ku fabryce z przeraźliwem wołaniem.

Za nim wkrótce popędził tłum gości z młodym Kurzbachem na czele. Krzyki robotników „kocioł! kocioł!" wskazywały dostatecznie przyczynę i źródło nieszczęścia.

Nikt też już nie wątpił, że nastąpił wybuch i przerażenie wstrząsnęło wszystkie serca. O ratunku nie było mowy.

Nad zaklęsłym dachem kotłowni wiły się kłębiki wydobywającej się szczelinami pary, huk malał, przechodząc w głuche brzęczenie drgającego metalu. Gruz, wióry, trzaski zaścielały przestrzeń pod ścianami.

Tłum zawodzących robotników stał opodal półkolem.

Nadbiegł sam administrator. Na widok obrazu

zniszczenia zatrząsł się cały i chwyciwszy się za głowę, jęknął.

Zaszlochana żona robotnika rzuciła się ze strasznym krzykiem ku niemu:

— O ja sierota nieszczęśliwa!

Na ten krzyk odezwały się inne głosy:

— Ludzie w kotłowni! ludzie!

Z grona nadlatujących biesiadników wydarł się okrzyk:

— Ratować! Na Boga! ratować!

Kilku mężczyzn pobiegło ku fabryce, kilku innych zaczęło uspokajać zanoszące się płaczem panie.

Nagle Horst Kurzbach, który już drapał się po rynnie ku górnemu oknu kotłowni, aby zajrzeć do środka, odwróciwszy się, obrzucił okiem obecnych i stłumionym głosem spytał:

— A gdzie Słodowski? Olszyński?

— W środku! tam! — odpowiedział któryś robotnik.

Zaległo głuche milczenie.

I z dwóch razem piersi kobiecych popłynął jęk...

Obiedwie Olszyńskie, matka i córka, osunęły się na kolana.

Po twarzy Horsta przebiegł wyraz dumnej odwagi.

— Za mną! — krzyknął i jak kot zaczął się wspinać po kruszącym się pod jego ciężarem zrębie.

W patrzących krew zastygła.

Upłynęło kilka jak wiek długich minut, kilka chwil złowrogiej ciszy.

Wszystkich ogarnęła martwota przerażenia i rozpaczy.

Tylko z ust półomdlałej pani Olszyńskiej wybiegało co chwila łzawe:

— Jaś! Jaś!

Staruszka szamotała się z otaczającymi, którzy ją przytrzymywali, pocieszając — wyciągała rozpo-

starte dłonie ku złowieszczym murom, łkając. Wala klęczała przy niej z oczyma łez pełnemi.

Wtem na jednej z kondygnacyj prowadzącego nad piece sklepienia, w małym otworze, wybitym dla lepszego przewiewu, ukazała się zmieniona do niepoznania, sino-czarna twarz Słodowskiego:

— Do mnie! do mnie! prędzej! kto w Boga wierzy! — krzyknął zachrypłym głosem — przez buraczarnię! przez buraczarnię!...

Na głos chemika rozległ się okrzyk nadziei, odwaga wstąpiła w serca. Bliżej stojący rzucili się ku pomostowi, wiodącemu na buraczarnię. A równocześnie z wnętrza fabryki dało się słyszeć nawoływanie przybiegłych na ratunek ludzi. To *maszynmajster* Knotz, przedostawszy się do środka kurytarzem wiodącym pod kotły, próbował wedrzeć się przez rozpęknięte ściany. Kilku robotników dopomagało mu, odrzucając pokruszony tynk, cegły i rumowiska. Krzyczeli przytem głośno, zachęcając się wzajemnie.

Słodowski raz jeszcze wychylił się na zewnątrz, zaczerpnął świeżego powietrza i zniknął znów z oczu w tętniących nieszczęściem murach.

Groza mijała, ustępując miejsca natężonemu oczekiwaniu.

Tymczasem Jan Olszyński, wybiegłszy na oślep w ziejący zniszczeniem krater kotłowni, wiedziony instynktem, w całym pędzie przebiegł szczęśliwie przez bałwany szalejącej z hukiem pary do ściany, przy której ustawiona była *szpajzpompa*. Tu kurzawa i opar były rzadszemi, bo odciągał je kanał podziemny, do wywożenia żuzla i popiołu służący. Jeden rzut oka starczył, aby ogrom niebezpieczeństwa ocenić.

Olszyński błyskawicznie zdał sobie sprawę ze straszliwego położenia. Pomimo kłębów pary, czerwony odbłysk znaczył jaskrawą linję palenisk. Jeden z dziesięciu kotłów osiadł już na rusztach. Rozżarzone blachy, niby pielina olbrzymiego jaja, przeświecały na nitach, trąc eliptyczną wypukłością o zaszklone gorącem boki sklepień. Po wygiętych bokach prześlizgał się, skrzypiąc, kadłub ruszonego z posad kotła, prężąc się i wydymając, do przejrzystej, napełnionej jarkiem światłem bani podobny. Świstawka wyła, klapa bezpieczeństwa żegotała.

Nie ulegało wątpliwości, że kocioł dla braku wody nie mógł powstrzymać naporu rozkładającej się na wybuchowe atomy pary...

Olszyński zrozumiał, że wybuch lada chwila nastąpi. Pozostawało tylko zmniejszyć jego siłę. Jedna kropla chłodnej wody, wtłoczona w rozpaloną paszczękę, mogła wybuch spotęgować. Pochwycony raptownie żarem płyn spełniłby w tym wypadku rolę dynamitu, powodując nagłe wytworzenie się gazów.

Wytrawny umysł Olszyńskiego zaczął wobec straszliwego niebezpieczeństwa szukać dróg ratunku. Należało przedewszystkiem przeciąć jak najśpieszniej dopływ wody.

Olszyński z piorunującym krzykiem: „Szpajzer! zatrzymać pompę!“ rzucił się ku kranom maszyny.

Dotknął ręką stalowej korby wentyla. Wentyl był zamknięty, pompa na szczęście nie funkcjonowała.

Ale w tej chwili ujrzał przed sobą wysuwającą się parę rąk i głos zdławiony:

— Herr Jesu! Herr Jesu!

Był to nowy *szpajzer*, Jahann Kuntze. Zaskoczony katastrofą dozorca, z okiem w słup postawionem, klęczał przy nieruchomej pompie, szukając po omacku kranów. Wyciągał bezprzytomnie ręce przed siebie, macając. Olszyński odgadł z ruchów, że zamiarem *szpajzera* było puścić w ruch pompę. Momentalnie chwycił go w ramiona i odrzuciwszy na bok, krzyknął groźnie:

— Nie tykaj pompy! Na kotły! podnieść klapy!!

Sam też po otwartych drzwiczkach pierwszego

ogniska wdrapał się na sklepienie pieców i klęknąwszy, poczołgał, osłaniając twarz rękoma.

Górna część kotłowni trzęsła się od łoskotu. Gorąco tłumiło oddech, prażący żar nie pozwolił otworzyć oczu. Olszyński po huku poznawał, w którą mu wypada kierować się stronę. Czołgał się. Ogarniała go jakaś dzika chęć walki z rozszalałym żywiołem. W miarę jak się zbliżał do zagrożonego wybuchem kotła, odstąpił go nawet instynkt zachowawczy. Jakaś niepojęta siła, tłumiąca uczucie bojaźni, wabiła w czeluście niechybnej śmierci...

Wreszcie wśród huraganu wirujących nad jego głową pyłu, kurzu i chmur pary, rozciągnięty na rozpalonej polepie gliny, dotarł Olszyński do wystającej nad sklepieniem pokrywy... Nadludzkim wysiłkiem powstał na nogi, objął ramieniem przyciskające klapy bezpieczeństwa, ciężary... Dźwignął... Wargkły żelaziwa, rozległ się piekielny huk, przez otwarte skrzele trawionego ogniem olbrzyma buchnęły fontanną mirjardy rozpylonego wrzątku, zaświdrowały w wiązaniach dachu i krusząc wszystko, wzbiły się wyszczerbionym wyłomem ku górze, z rykiem, co w krawędzie podniebnych obłoków uderzył.

Potem spadła lawina wyrzuconych wytryskiem pary szczątków i jasność dzienna zajrzała w drgający konwulsyjnym odruchem budynek.

Niebezpieczeństwo minęło. Wybuch ograniczył się na rozdarciu zewnętrznej ściany kotła, która razem ze zbiornikiem pary wyleciała w powietrze.

Teraz, pomimo pojedyńczych tu i owdzie huków, zdawało się, że zalega niezakłócona niczem cisza. Dobywające się, jak z pod ziemi, głosy śpieszących na ratunek, rozbrzmiewały coraz bliżej kotłowni. Rozchodząca się przez okna kurzawa, i wybite eksplozją otwory dachów, dozwalały dojrzeć całe wnętrze.

Pierwszy przez wał pokruszonych cegieł i stos odłamków przedostał się wejściem do buraczarni Słodowski. Równocześnie z chemikiem, na jednym z poszarpanych wybuchem gzemsów muru, ukazał się Horst Kurzbach. Maszynmajster Knotz, z kilku robotnikami, podważywszy boczną furtkę, wtargnął z drugiej strony, kierując się, zasypanym rumowiem, kurytarzykiem do wrót głównych, które się własnym ciężarem w czasie wybuchu zawarły.

W mgnieniu oka wypchnięto odrzwia.

Okrzyk zgrozy rozdarł powietrze.

Przy *szpajzpompie* leżał twarzą do ziemi dozorca Kuntze.

Dwóch robotników rzuciło się ku niemu. Uniosło... Rozwarł szeroko źrenice, rozśmiał się dziko, wyrwał się z podtrzymujących go ramion i wybiegł w szalonych podskokach z przerażającym chichotem.

— Zwarjował! — krzyknął Słodowski i już miał się puścić w pogoń za nieszczęsnym, gdy rozglądający się z podwyższenia, na jakiem stał, młody Kurzbach zeskoczył nagle, rzucił się na kotły, wołając rozdzierającym głosem:

— Tam! tam! Olszyński! Olszyński!

Nad stygnącym kraterem rozłupanej żelaznej skorupy kotła, z głową spoczywającą bezwładnie na piętrzących się wokół gruzach, leżał Jan Olszyński.

Z głębokiej rany na czole, w którem tkwiła szczapa oderwanego wybuchem kruszcu, sączyła się struga krwi.

Słodowski padł na kolana z rykiem.

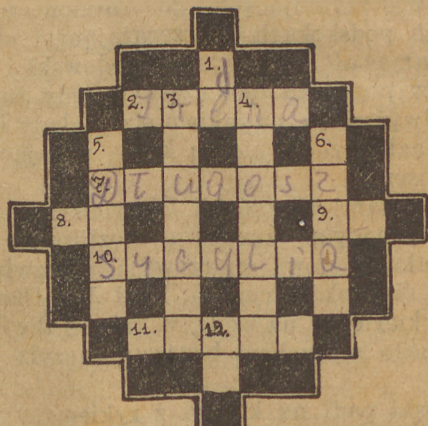
KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

„Rozrywki umysłowe"

pod redakcją Kazimierza Gilewicza.

4. KRZYŻÓWKA.

Krzyżówka — jest to kwadrat lub inna figura kratkowana z deseniem. Słowa czytają się w krzyżówkach w 2-ch kierunkach: ze strony lewej ku prawej (poziomo), oraz z góry na dół (pionowe). Każde słowo mieści się w przestrzeni między jedną z bocznych linij a czarnym kwadratem; lub między czarnemi kwadratami. Oczywiście czasem od jednej liczby zaczynają się dwa słowa: jedno poziome, a drugie pionowe. Znakomicie ułatwia orjentację podział przy podaniu znaczenia wyrazów. Oddzielnie podane są znaczenia wyrazów: poziomych i pionowych.



ZNACZENIE WYRAZÓW POZIOMYCH:

2. Imię żeńskie. 7. Historyk polski. 8. Litera grecka. 9. Spójnik. 10. Wyspa na morzu Śródziemnem. 11. Namiot dla wojska.

ZNACZENIE WYRAZÓW PIONOWYCH:

1. Inaczej spożywa. 3. Zdanie sprawy. 4. Rodzaj utworu 5. Szklanne nakrycie. 6. Sędzia w Hiszpanji. 12. Nuta.

J. Gil.

5. SZARADA.

Pierwsza — pierwsza — różna bywa:
Niedołężna, lub dość żywa,
Druga — druga — o! ta młodsza,
Nieraz kiedy bawi dziecię,
To mu nuci — *trzecie — trzecie.*
Pozostało — *czwarte — czwarte.*
Dla teatru mało warte,
Niefortunne sztuki dzieło,
Powodzenie — licho wzięło.
Wszystko — wszystkie, jak to wiecie —
Wciąż na bujnym siedzą kwiecie.

Józef Wł. Flisiński.

6. ZADANIE KONIKOWE.

Książ-	Ży-	Smu-	la,	to	żek.
bez	cie-	ka-	jest	tne	smu-
cie	ciel!	przy-	ży-	ksią-	przy-
ja-	cie	bez	ja-	tne	jest

Ruchem konikowym należy odczytać zdanie zamieszczone w powyższej figurze. *Enigma.*

Termin nadsyłania rozwiązań 14-todniowy. Trzy wartościowe nagrody przez losowanie. Napis na kopertach zalepionych: Redakcja: „Bibljoteki Domu Polskiego". Warszawa, Nowowiejska 27. „Rozrywki umysłowe".

OD ADMINISTRACJI.

1. Przy zmianie adresu należy podawać numer abonamentu i dawny adres. Inaczej zawiadomienia uwzględniane nie będą.

2. Wszystkich P. T. Czytelników usilnie prosimy wypisywać na przekazach pocztowych i blankietach P. K. O. na co przeznaczona jest suma. Opuszczenie takiego wyjaśnienia lub jakakolwiek nieścisłość utrudnia, a nawet zupełnie wstrzymuje ekspedycję.

Bibljoteka Domu Polskiego
Warszawa, Nowowiejska 27. Tel. 219-10.